



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

PIERŚCIEN POLIKRATESA.

— Polikratesie! ziemskim losom kwoli,
Coś ty dał Bogom na okup twej doli,
Aby cię Fatum gniew nie ściagał srogi?
Co?... Z palca swego zdjąłeś pierścień drogi,
I w morskiej toni rzuciłeś go fale,
By ponieść stratę, czuć straty tej żale,
I w sercu nosić wieczne niepokoje,
Że tak opłacać masz wciąż szczęście twoje
Jakimś kosztownym ubytkiem dostatku...
Cóż, gdy tak biednym staniesz się wostatku,
Że tylko jedną, jedyną rzecz drogą
Mieć jeszcze będziesz? Zażądać jej mogą
Moce, co losem twoim władną skrycie.
Ty im na okup zechcesz oddać życie,
Lecz jeśli rzekną, że nie... że ci dano
Byt twój na szczęście właśnie, lecz kazano
Každy rok jego ofiarami płacić:
Coś poza sobą zostawiać, coś tracić,
By Przeznaczenie groźnie nie wołało,
Że rośniesz w pychę i mając tak mało,
Nic już nie żądasz, nic już nie chcesz więcej...
Chociażbyś prosił, błagał najgoręcej,
Wezma, gdy zechcą—fala skarb uniesie!...
Zatem ci radę dam, Polikratesie...
Powiedz ty sobie, że tu szczęścia niemał
Żaden kwiat wiosny lata nie przetrzyma,
Ma w sobie zaród śmierci wszelkie życie,
I jest tęsknotą każde serca bicie.
Więc przed potęgą tej siły okrutnej
Nie korz się, drżący, i w piersi twej smutnej

Miej duszę mężną: radość i cierpienie,
To są ziemskiego istnienia—dwa cienie.

M. I.

STOWARZYSZENIE OPIEKI NAD SŁUGAMI.

(Dokończenie)

Towarzystwo zamierza uczynić gospodę sług, nietylko miejscem ucziwej rozrywki i zebrań, działających na moralne i umysłowe ich podniesienie, ale więcej jeszcze: pragnie, aby pod jednym, a bardzo ważnym względem, zastąpiła ona służącą dom rodzinny, najczęściej daleki. Bywają wypadki, że najlepsza, najuczciwsza jest zmuszoną wyjść ze służby w ciągu kwartału, a niezawsze może natychmiast znaleźć pomieszczenie inne. Tuli się wtedy bardzo niewygodnie, często bardzo źle, u stręczycielek, u ludzi ledwoże znanych, którzy chcą z niej korzystać. Często sprowadza to dziewczynie młodej stosunki i znajomości dla niej niedobre, lub zniewala ją do zbyt pośpiesznego przyjęcia nieodpowiedniej służby i zawsze może być dla niej źródłem trosk, kłopotów, a niejednokrotnie nieszczęść nawet: Towarzystwo też, troszcząc się o to, zamierza, aby w razie wymienionych wypadków gospoda przyjmowała na czasowe zamieszkanie sługi bez miejsca. Jakkolwiek nie znajduje się to wymienionem między zamiarami Towarzystwa, objętymi paragrafem 3 ustawy, ale w *Objaśnieniu* tejże ustawy, czytamy: „Trzeba obmyślić dla sług udogodnienia i pomyśleć o urządzeniu lokalów, choćby najskromniejszych, gdzieby pod nadzorem kobiet starszych, znanych z moralności i rozsądku, sługi mogły znajdować

chwilowy przytułek w razie zmiany służby w ciągu kwartału, lub miesiąca.“ Jest-to „udogodnienie“ dla sług bardzo ważne i dowodzące, że plan działań Towarzystwa przemyślany jest rozumnie i troskliwie. Tosamo powtórzyć trzeba o zapewnieniu sługom bezpłatnej porady lekarza, a zarazem o przyrzeczonej przez paragraf 20 bezpłatnej informacji prawnej. Więcej tu jeszcze, niż bezpłatność, znaczy uczciwość porady owej. Najlepsza sługa może się znaleźć w położeniu, które porady takiej wymaga: może być pokrzywdzoną, rozdrażnioną przez niesłusne wymagania, niesprawiedliwe sądy, i głos, któryby jej wtedy dał radę światłą a nie powodowaną interessem, któryby jej wyłuszczył jak daleko idą jej prawa, a co z konieczności trzeba jej znieść i przecierpieć, aby bezużytecznym oporem położenia swego nie pogorszała — głos taki wiele złego zatamować może. Polubowne sądy Towarzystwa w razie sporu między sługą a jej pracodawcami są niezmiernego w tymsamym kierunku znaczenia. Skromność i delikatność uczuć ściera się prędko i szkodliwie w kobiecie młodej, która ze skargą swoją publicznie występuje, a przecież żądać wymiaru sprawiedliwości, bronić się przed uciskiem lub niesłusnością, jest naturalnem pragnieniem każdej istoty ludzkiej. Trybunał Towarzystwa będzie miał dla służki charakter niemal rodzinnej, ojcowskiej władzy, przytem żaden zarzut stro.ności dotknąć go nie może i przez tosamo, nie psuć, ale wyroki jego przez pojednawczą, łagodną powagę umoralniać mogą.

Towarzystwo obiecuje przytem uczciwy pogrzb służącej ubogiej, a życiu tej, którą starość, kalectwo, choroba pozbawi sił do pracy przytułek spokojny. Wyższa przykładność w pełnieniu obowiązków, długoletnia praca w rodzinie jednej, będzie ze strony Towarzystwa nagradzana. Ale jedną z najważniejszych korzyści, jakie Towarzystwo słudze zapewnia, jest to, że jej ułatwia oszczędności, którym daje należyty procent, obok

bezpiecznego umieszczenia kapitalików. Jest wiele sług, które, odmawiając sobie, nie już przyjemności, ale rzeczywistych potrzeb życia, składały przez długie lata grosz ciężko zapracowany, a potem traciły nagle wszystko, oszukane przez ludzi złej woli, korzystających z łatowości, czy ciemnoty biednych. Towarzystwo żąda od każdej sługi, która się pod jego opiekę oddaje, aby składała co kwartał jakąś, choćby najmniejszą, kwotę na oszczędność. Musi ją przy wejściu do Towarzystwa zadeklarować i wносить już potem regularnie; niemniej przyjętem będzie i na rachunek jej oszczędności w księgach Towarzystwa zapisaniem zostanie, coby zechciała od czasu do czasu wnieść dobrowolnie. Niezależnie od tego Towarzystwo będzie składać i z końcem roku na rachunek sług rozdzielać *fundusz pomocy*, powstały: z części pewnej dochodu, jaki Towarzystwu przynosić będą opłaty kantorowe, z ofiar dobrowolnych, z zapisów na ten cel czynionych, oraz z sum, do których prawo utracił sługa przed upływem lat pięciu spod opieki Towarzystwa wychodząca.

Tej, która po upływie lat pięciu pozostawania pod opieką Towarzystwa zechce oszczędności swoje z kasy instytucji wycofać, wypłaconą będzie połowa *funduszu pomocy*. Następnie co rok jedna piąta część funduszu pomocy na jej żądanie wypłaconą jej zostanie. Po roku pozostawania pod opieką instytucji będzie miała prawo do zaciągnięcia z kasy Towarzystwa pożyczki, równającej się summie, jaka z oszczędności jej powstała; pożyczkę tę spłacać jest obowiązana ratami, razem z kwotką, którą na oszczędność składać się zobowiązała. Gdyby pożyczki tej w ciągu roku nie spłaciła, ani nie postarała się u zarządu Towarzystwa o prolongacyę, może być spod opieki Towarzystwa wydalona.

W razie każdego wydalenia, czyto dobrowolnego, czy przymusowego, przez Towarzystwo, oszczędności jej, ze składek kwartalnych powstałe, będą jej w całości zwrócone, oile fundusz ten nie zostanie w drodze sądowej przyaresztowanym. Na wypadek śmierci sługi, oszczędności te przechodzą na jej prawnych spadkobierców. Fundusz pomocy wypłaca się według praw, któreby jej przysługiwały, w połowie mężowi, w połowie dzieciom; gdyby nie zostawiła męża, cały fundusz przechodzi na dzieci, i naodwrot: w razie, gdyby nie było dzieci, wszystko dostaje się mężowi. W razie, gdyby zmarła nie miała ani męża ani dzieci, spadek przechodzi na korzyść ogólną funduszu pomocy. Ponieważ fundusz pomocy nie jest bezwarunkową własnością sługi, ale pochodzi od Towarzystwa, jako wsparcie jej udzielone, nie ulega więc aresztowi sądowemu. Każda sługa otrzymuje książeczkę oszczędności i pomocy, w której zapisaniem znajduje, ile złożyła, ile jej przyniósł procent, ile przypadło jej z ogólnego funduszu pomocy, oraz to, coby jej osoba trzecia imiennie na jej szczególną korzyść złożyła.

Sługa, która zapewniane jej w ten sposób korzyści zrozumiałszy, zechce się pod opieką Towarzystwa umieścić, potrzebuje jedynie złożyć dowody, że ma prawo wejść do służby, oraz świadectwo moralnych obyczajów, wydane piśmiennie lub ustnie przez osoby znane Towarzystwu. Dowody te powinna złożyć na ręce opiekuna czy opiekunki, lub od razu w zarządzie instytucji; powinna zarazem zobowiązać się, że do przepisów Towarzystwa stosować się będzie.

W razie uchybienia im zostaje też z ksiąg instytucji wykreślona, co również ma miejsce, gdyby Towarzystwo przekonaniem zostało o jej niemoralności. Dokonywa tego zarząd Towarzystwa; przecież w razie odwołania się sługi do wyższej władzy, do Komitetu, ostateczną decyzją wydalenia tenże Komitet wydaje dopiero. Odwołanie się do tej drugiej instancji Towarzystwa powinno nastąpić najpóźniej w cztery tygodnie od daty ogłoszenia decyzji Zarządu.

To postanowienie Towarzystwa przedstawia się nieco niejasno. Jakiem będzie „ogłoszenie“ decyzji zarządu, który ostatecznego wyroku nie wydaje jeszcze? Zapewne wyrok ten zostanie jedynie zakomunikowanym osobie interessowanej, to jest słudze, będzie jej „wygłoszony.“ Wyraz „ogłoszenie“ naprowadza na myśl jakiegoś opublikowania, co przed ostatecznym załatwieniem sprawy doty-

kałoby sługę zbyt surowo. A nużby Komitet Towarzystwa dostrzegł okoliczności łagodzące, nużby je po pewnym przeciągu czasu lepiej zebrać i umiejętniej przedstawić mogła obwiniona? — W pierwszej chwili dziewczyna prosta, mniej dobrane dowody niewinności swojej zgromadzić może, a nieraz i strona skarżąca — najczęściej pracodawcy sługi — czyż nie zmieni coś w doniosłości skargi, gdy przemnie uniesienie gniewu? Świętych, nieomylnych, jest tak mało na świecie i łacinnik dobrze powiada: — Homo sum ... Ze słusznym na to względem Towarzystwo urządziło dla sądów swoich dwie instancje. Wyrok ostateczny może dopiero pociągnąć za sobą środki karne.

Także coś do zmienienia wydało mi się potrzebnem w par. 23. „Sługa, która zechce poddać się opiece Towarzystwa, powinna złożyć swoje świadectwa na ręce „opiekuna lub opiekunki.“ Zapewne jest tu mowa o małoletnich, tylko jednak dziewczęta pochodzące z Warszawy mogłyby temu przepisowi zadosyć uczynić, mając naturalnych młodości swej opiekunów w pobliżu te zaś, które przybywają z okolic dalszych, zaopatrzone są jedynie w paszport i inne papiery przez policją wymagane. Złe, że tak jest, ale jest tak powszechnie i do tego stopnia, że ogół ludu nie wie nawet o prawie jakiejś opieki nad małoletnim, który mając już siłę do pracy, takowej poszukuje. Dzieci ubogiego są jak ptaszki Boże, które za dostaniem skrzydełek wyfruwają z gniazda. Towarzystwo musi też, mniej się tu pilnując przepisów prawnych, uwzględnić to, co w obyczajach ludu jest powszechnie przyjętem. W paragrafie 23 potrzebna-by była jedna jeszcze mała zmiana: powołanie się dziewczęcia na świadectwo osób „znanych“ Towarzystwu, być może dla bardzo wielkiej liczby sług, chcących wejść pod opiekę Towarzystwa, trudnością niepokonaną, szczególnie w czasie obecnym, gdy Towarzystwo zaledwie zawiązanem zostało i liczba Członków bardzo znaczną być nie może. Są przecież osoby „wiarogodne“, o których Towarzystwo potrzebowałoby się wprawdzie wywieźć, aby świadectwo ich przyjętem być mogło; ale jest to już trud konieczny, który Zarząd Towarzystwa przyjąć potrzebuje, chcąc ułatwić przystęp garnącym się do niego sługom dobrej woli, bo niewątpliwie takie tylko opieki jego poszukiwać będą.

Czy zastęp okaże się liczny? Zważając na korzyści, jakie Towarzystwo sługom zapewnia, należałoby odpowiedzieć, że tak; ale lud, nietylko u nas, jest z natury swej zachowawczym, nowościom nie dowierza, a nawet podejrzliwym okiem na nie patrzy, lęka się ich i potrzeba go pociągać nawet do rzeczy, które są dobrodziejstwem, obmyślanem na największy jego pożytek. Kto wie: czy i tu nie będzie tak początkowo, co jednak nie powinno zrażać tych osób klas wyższych, które właściwie stowarzyszenie składać będą i za których rozszerzonym współdziałaniem Towarzystwo może jedynie działanie swe rozpowszechnić. Nietylko dla zasobów materialnych Towarzystwo potrzebuje poważnej liczby członków; wpływość jego tylko tą drogą osiągnięta być może, bo nie przez pisma-to dostać się zdoła między lud, między klasy służące dokładna wiadomość celów Towarzystwa i środków, jakimi działać zamierza. Pracodawcy, a szczególnie panie, mogą i powinny to zdziałać: w życzliwej, przyjaznej pogawędce ze sługami własnymi powinny zawiadomić je najpierw o zawiązaniu się Towarzystwa, a potem powoli, dokładnie znaczenie jego przedstawić i ustawić w najważniejszych punktach objaśnić. Więść pójdzie dalej, stanie się przedmiotem rozmów, namysłów, i krążąc między sługami, nakłaniać będzie inteligentniejsze, aby szukały dobroczynnego oparcia, które im się przedstawia.

Jaka kategoria sług może się okazać najskłonniejszą do szukania opieki Towarzystwa? Najpotrzebniejsza jest ona dla najmłodszych, ale młodość każda niesie w sobie zasób nadziei, ma przed oczyma szerokie jej widnokreśli i młode sługi, tak jak wszystkie młode kobiety, uważają chwilę obecną za stan przejściowy, liczą na zamążpójście, więc myśl o zabezpieczeniu przyszłości dalekiej, o zbieraniu na zimę życia, nie może jeszcze zaplanować w umyśle, który roi co innego, innemi marzeniami rzeczywistości sobie zdoła. Dopiero gdy to kwiecie wiosny przekwitać zaczyna, gdy zbliża się

dojrzałość lata, a z nią bolesniejsze coraz uczucie samotności ogarnia serce zawiedzionej w nadziejach, wtedy myśl, niespokojna o jutro, uczyć ją zaczyna przezorności. I wtedy też nadchodzi epoka robienia oszczędności, składanie grosza na przyszłość niepewną, starość smutną. Wstępuje przytem moralna potrzeba oparcia się o coś, i sługi w tym czasie garnąć się zaczynają najliczniej do bractw pobożnych, jeżeli rozum i delikatniejsze uczucie obroni je od tych chciwych harpij, które sprowadzają na biedne te istoty dramata najboleśniejsze: od swatek, stręczycielek małżeństw.

Sługi w tym wieku: około lat trzydziestu, trzydziestu kilku, są niewątpliwie najwięcej usposobione do oddania się pod opiekę Towarzystwa, której też najwierniejszemi pozostaną. Najmniej zawodów i uchybień przepisom swoim Towarzystwo między niemi spotka, a wyświadczać im będzie łaskę ogromną już przez to samo, że skazanym na ciężką samotność wśród obcych wytworzy jakąś rodzinę moralną, do jakiegoś zogniskowania je przypuści.

Ale niemniej dla względów bardzo ważnych Towarzystwo jest szczególnie potrzebne sługom najmłodszym, i tylko przez młodość, wykształconą pod jego opieką, może ono skutecznie podnieść poziom moralności sług wogóle. Nie może tu już być mowy o wpływach wychowania, ale pozostają ważne bardzo wpływy młodego nagięcia, młodego pokierowania: nawyknień młodych i rozświecenia umysłu w tej porze jeszcze łatwiejszego przyswajania, assimilowania sobie pojęć, nabywania wiadomości. Wszystkie towarzystwa zajmujące się umoralnianiem służących zwracają też największą czynność w tym kierunku: otaczają szczególną starannością młodość, której poświęcają troskliwość swoją przy pierwszym kroku w zawód obrany. W Berlinie istnieje obok „Hausfrauen Verein“ instytucja zajmująca się jedynie młodemi dziewczętami, które z prowincji za służbą przybywają, i dla których urządzony został przytułek, gdzie bardzo tanim kosztem dostają porządne pomieszczenie i utrzymanie, aż do chwili znalezienia sobie służby, w czem objaśniają je starannie, gdzie i jak szukać takowej, na jakich warunkach i u kogo przyjmować ją należy. Zbawienny ten zakład mieści się w „Amelienhaus“, w pobliżu bramy Poczdamskiej, a pismo nasze przez wzgląd na dziewczęta z Poznańskiego, z Prus Wschodnich i Zachodnich które do Berlina nieraz na służbę idą, podało przed kilku laty w *Kronice działalności kobiecej* dokładny adres miejsca, o co ten zakład prosił wszystkie pisma wiadomość o nim posiadające. Prócz tego zakład rozesłał odezwy do wszystkich proboszczów w Prussach, oraz do zarządów kolei żelaznych z prośbą, aby dziewczętom do Berlina spieszącym, dawano adres przytułku i znaczenie jego tłumaczono, a uczciwa ta troska o młodość nieświadomą i niedoświadczoną, pierwszy krok samodzielny w życiu czyniącą, nazwać się może prawdziwie chrześcijańską i ludzką.

Podobny zakład istnieć powinien w każdym mieście większem, w każdej stolicy, i czyby Towarzystwo opieki nad sługami nie mogło urządzić go przy gospodzie sług, rozszerzając ją na ten cel, nie więcej niż o jedną przestronną izbę, która mogłaby zostać wypełnioną tylko w początkach Ś-to Michalskiego kwartału, gdyż w tym jedynie czasie dziewczęta z prowincji najliczniej do Warszawy ściągają? Z ich-to zastępu mogłoby wybierać sobie Towarzystwo najmłodsze i najintelligentniejsze, aby je oddawać na naukę, którą paragraf 3 Ustawy Towarzystwa obiecuje. Kantor Towarzystwa mógłby rozmieszczać resztę, a że każda z dziewcząt przybywających posiada jakąś kwotkę, przeznaczoną na znalezienie sobie służby i utrzymanie przez czas jej poszukiwania, nie obciążyły się przez to budżet Towarzystwa. Byłby to może najprostszy środek ujęcia w rękę najmłodszego kontyngensu sług, i utworzyłby się z nich pierwszy zastęp tych, którym Towarzystwo pragnie dać opiekę swoją. Używając tegosamego środka, co instytucja Berlińska: działając przez proboszczów, Towarzystwo ściągłoby niewątpliwie pod swój wpływ najlepsze, najmoralniejsze osobistości z pomiędzy przybywających do Warszawy.

I Kantor Towarzystwa zostałby od razu wpra-

MIŁOŚĆ CZY RACHUBA ?

NO WELLA

przez

E - l - e - m.

PANI MARYI ILNICKIEJ

W DOWÓD PRAWDZIWEGO POWAŻANIA

ofiaruje

AUTOR.

Had we never lov'd sae kindly —
 Had we never lov'd sae blindly —
 Never met — or never parted —
 We had ne'er been broken-hearted.
 Robert Burns.

I.

Świtało...

Noc porywała za sobą czarną i gęstą zasłonę, jaką zarzuciła była na cały obszar ziemi i korony drzew niebotycznych. Zpod ciemnej powłoki obnażone jodły wysmukłe, szumieć poczęły weselej; zielone sploty odwiecznych dębów kołysały się żwawiej na wiatru falach i zalotnym ruchem wzywały do szep-tów smutnie zwieszonych gałązki brzozy. Z pierwszym słońcem promieniem, jakby zwiastunem dobrej winy, życie wstąpiło do lasu, w którym uroczą panowała cisza. Ocknął się on, jakby z chwilowego letargu, i począł koronę drzew swych wstrząsać i poruszać, a jak pan samowładny do życia i czynu wzywać całe królestwo leśne. W miarę jak wzbijające się słońce roztaczało ożywcze promienie, las cały, by na powitanie, zaszumiał i zagrał taką drzew muzyką, jakgdyby czarodziejska ozwała się kapela. — A w dali — het!... daleko.. płynęła szerokim korytem dumna i kapryśna królowa wód naszych.

W tę wspaniałą harmonią szumiących liści, świego tu ptaszka i brzęku owadów wmieszały się nagle odgłosy kroków przechodnia, który, chodząc wolno po lesie, z zachwytem przypatrywał się wszystkiemu. Radował się widokiem wysmukłych jodeł, świerków i sosen, jakby starych znajomych; podśledywał wrzaskliwej leśnych mieszkańców muzyki, jak stary wojak obozowej piosenki, a gdy środkową lasu ścieżyną wszedł na piękną, w dolinie leżącą, polankę, odetchnął swobodnie i silnie zaczerpnął leśnego powietrza: widocznie piersi jego, szerokie, wyniosłe, potrzebowały nareszcie odetchnąć świeżą wsi atmosferą.

Przystanąwszy, po chwili zdjął z głowy kapelusza i z pewną obawą rzucił wzrok w obszerny i starannie utrzymany park angielski, przytykający do lasu; gdy zaś w dali, na wzgórzu, dojrzał biały, czerwona dachówką kryty, dwór murowany, zadrżał mimowoli z radosnym na ustach uśmiechem.

Zatrzymał się chwilę — jakby do uścisku wyciągnął ręce w stronę tego dworu i po chwili szparkim począł posuwać się do niego krokiem.

Nagle uwagę jego zwrócił człowiek w mundurze i czapce z zielonym lampasem, przyklejający arkusz drukowanego papieru na drzwiach, stojącego nieopodal domku drewnianego.

Zaciekawiony bardzo zbliżył się i wyczytał co następuje:

„Pisarz Trybunału Cywilnego zawiadamia i ogłasza: iż na żądanie Floryana Twarosza, obywatela ziemskiego, wierzyciela sum: złp. 200,000, 115,000 i 80,000 pod N-mi 3, 4 i 7 działu czwartego wykazu hipotecznego lokowanych, sprzedane będą przez publiczną licytacją, w drodze przymusowego wywłaszczenia, dobra ziemskie Kijany i Kijanówka z przyległościami i przynależnościami...“

Przerwał czytanie, a na spokojnym dotychczas obliczu odbijały się naprzemian: niepokój i pomieszanie, wzruszenie i obawa, — uczucia, które nagle lecz silnie wstrząsnąć i owładnąć nim musiały.

Po chwili uspokoił się nieco i błędnym wzrokiem powiódł wokoło siebie, jakgdyby nad głową jego zawisła groźba jakiegoś nieszczęścia. Po namyśle pewnym, z zupełnym spokojem na twarzy, wrócił ponad skraj lasu, z kąd dojrzeć było można garstkę ludzi pracujących w pewnym oddaleniu, przy pomocy narzędzi górniczych. Zwolna podążył do tego miejsca i, zamysłony, w milczeniu przypatrywał się robocie; poczem znów skierował kroki do lasu i, nie bacząc na coraz bardziej dopiekające promienie słońca, przechadzał się długo, wciąż pograżony w zadumie.

Wyszedłszy ponad brzeg lasu, zmęczony, siadł nareszcie na murawie, pod cieniem dębu rozłożystego. Z kieszeni wydobyl książeczkę w której począł pisać i coś bardzo skrętnie obliczać.

Z tej pilnej roboty wyrwał go za ledwie tentent szybko kłusującego konia. Prędko powstał z miejsca i schował notatki. Za chwilę zatrzymała przed nim konia młoda i zgrabna kobieta. Ubrana była w lekką, czarną wełnianą amazonkę, zpod czar-nego zaś, à la Van Dyck, ryżowego kapelusza, owiniętego czarnym woalem, za ledwie dojrzeć można było w artystycznym nieładzie zaczesane jasno-złociste włosy i jako dwa najpiękniejsze szmaragdy, ciemnozielonych, błyszczących oczu parę. Zdziwiona widokiem niezwykłego w lesie, o tak rannej porze, gościa, odrzuciwszy w tył gęstą zasłone kapelusza, uważnie przypatrywać mu się poczęła. Lecz po chwili, wyciągnawszy rękę, z nieklamana radością zawołała:

— Konradek!... Pan Konrad!...

— Pani!... panna Janina! — wykrzyknął równocześnie, przybiegnawszy ku niej, i począł podać sobie rękę obsypywać tysiącem pocałunków.

— Czy to pan rzeczywiście? Oczom nie mogę dać wiary!

— Tak!... ja...

— Jakes pan urósł, zmężniał... Poznałam pana szczególnym jakimś przecuciem.

— Za które dzięki składam stokrotne — odrzekł, znouw całując ją w rękę.

— Co za przyjemne spotkanie! — mówiła dalej Janina. — Doprawdy, nie mogę jakoś oswoić się z tą myślą. Zdaje mi się, że to sen, czy marzenie, że widzę widmo pańskie, lecz nie widzę pana.

— Nie pani, to ja w rzeczywistych kształtach.

— Wierzę teraz; lecz z kąd pan wracasz, kiedyżes powrócił?

— To długa historia. Ojciec pani co porabia?

— Umarł — odrzekła, opuszczając głowę.

— Nie żyje?!... przerwał głośno i zamilkł na chwilę. — I dawno jesteś pani sierotą?

— Drugi rok dobiega... Lecz nie mówmy o tem...

A z panem co się działo? Sądziłszy wszyscy, żeś pan albo zginął bez wieści, albo odkrył jaką nową część świata i osiadł na niej, otoczony zbytkiem i przepychem; ja ani mówić z panem, ani go znać więcej nie powinnam. Czy to się tak godziło postąpić, panie Konradzie? Siedm lat upływa, jakes pan ząd wyjechał, i przez tyle czasu nie napisałeś ani jednego słowa, nie dałeś o sobie ani znaku życia! To nie do uwierzenia. Takiego postępowania niczem usprawiedliwić nie można. Ja i stara Jagusia sądziłyśmy pana za to bardzo surowo; tylko mój biedny ojciec zawsze stawał w pańskiej obronie i milczenie pana usprawiedliwiał tem, że pragnęłes zapewne zerwać nazawsze z miejscem i ludźmi, z którymi cię los przypadkiem połączył. Przy każdej sposobności prosił, byśmy dla ciebie, gdy wrócisz, byli zawsze ciżsami.

— Poczciwy, zacyjny starzec, — odrzekł Konrad westchnawszy smutnie. Prawda, zawiniłem ciężko. Nikt i nigdzie nie postępuje w ten sposób. Lecz nie żądam pani odemnie wytłómaczenia, którego dać nie mogę; później może, przy sposobnej chwili, usprawiedliwię się ze wszystkiego. Obecnie zaś puść pani wszystko w niepamięć i nie miej do mnie urazy, jak nie miał jej zacyjny twój ojciec.

— Nie wybaczam — jeszcze, lecz wybaczyć przyrzekam, jeżeli pan zdolasz albo usprawiedliwić się albo żałować szczerze. Lecz gdzieś pan przebywał; co za szczęśliwa okoliczność sprowadza pana w te strony? Powiedz-że mi to już nareszcie....

— Opowiem wszystko dokładnie.

— Proszę... Ja będę zadawać pytania, lecz mam ich zadać tyle, że nie wiem, od którego za-

wionym w ruch pożądanym. Dziewczęta wprost ze wsi, z miasteczek, są bardzo poszukiwane; znaczna liczba pracodawców woli mniej umiejetne, a jeszcze niezapewne życiem miejskiem i służbami u pań lekkomyślnych, niegospodarnych, dających strojami i zbytkiem swoim zły przykład młodej dziewczynie, w której niezdrowe chęci budzi widok tych lalek, poświęcających życie całe galgankom i elegancji. Przytem rozrzutność pani, nieważenie grosza, wyrabia tę samą wadę w słudze, która przybawając z cichego kątku, zpośród ludzi pracowitych, oszczędnych, zostaje zrazu odurzona tem, co widzi w koło siebie, potem przywyka do rzeczy, korzysta z niej i uważa dawną swą zabiegliwość za prostactwo wiejskiego zacofania. Szkoła sług są niewątpliwie domy, w których przebywają w pierwszych latach swego zawodu i gdyby Towarzystwo, rozmieszczając przez swój kantor sługi młode, mogło i pod tym względem rozciągnąć kontrolę pewną: dawać je tylko tam, gdzie pani lub jej rękodajna wyreczycielka w sprawy gospodarstwa blisko wgląda, gdzie nie panuje tak zwane „lej, rozlej“ nieporządek i niedbała rozrzutność, brak kontroli nad czasem i zajęciami sługi, nie psułyby się one przez życie miejskie, a wyrabiałby jedynie w bliższym zetknięciu się z klassami oświeconymi.

Kwestya sług to bardzo ważna kwestya, bo właśnie stykanie się klas ciemnych z oświeconymi w stosunku osobistym, długotrwałym i tak bliskim, jak tego na żadnej innej drodze osiągnąć nie podobna, może się stać potężnym środkiem oddziaływania na lud, cywilizowania go, wprowadzania między jego tłumy pojęć i uczuć szlachetniejszych. Większość sług idzie za męża, staje się matkami rodzin, chowa pokolenia ludu młode, a gdy przypomnimy sobie to, co wszyscy moralisci, myśliciele szkół wszelkich przyznali wpływowi matczyńskiemu, zrozumiemy znaczenie kwestyi sług.

Sługi to jak fala, która nieustannie z głębi ludu ku klasom oświeconym przypląwa i odpływa z powrotem; co z tych oblewanych brzegów ze sobą uniesie, złoto czy błoto, to w piersi ludu wejdzie i pozostanie w niej jako pierwiastek uszlachetnienia lub zepsucia.

Czy myślą o tem te kobiety, które jako gospodynie domów mają oddanych sobie tyle cór ludu, można powiedzieć z ciałem i duszą? Czy myślą, czy zastanawiają się nad tem, że pojęcia, które tu zasiać, uczucia, które tu rozbudzić mogą, poszłyby potem pracować w wielkim łonie, o którym Juliusz Barbier nie myląc się powiada:

— To grunt jest odwieczny

Wszystkich wielkich pomników, i pod wszelkie Wysokie, to podpora mocna, a dla stopy [stropy Bożej, to podwalina ludzkości, i biada, Biada temu, kto na nią ciężarem opada!...

Tak! lud to grunt, to podstawa konieczna pod wszelkie dzieła wielkie i pomnikowe. Niechże więc kobiety pamiętają, że mają w ręku swoim potężną dźwignię działania: przyszłe małżonki i matki ludu, o którym dodam jeszcze za poetą:

„Il prète à qui l'embrasse, une force immortelle.“

Towarzystwo opieki nad sługami przedsięwzięte też zadanie ważności obywatelskiej. Należy mu się od społeczeństwa naszego wdzięczność i uznanie, należy mu się przedewszystkiem poparcie ludzi dobrej woli. Praktyczny pożytek, jaki działa nie jego za sobą niesie, jest już tak wielkim, że dobrze zrozumiany interes popychać do tego powinien, i spodziewać się można zaraz z początku takiej liczby członków, aby Towarzystwo ukonstytuować się mogło na stałej i mocnej podstawie.

Założycielami Towarzystwa są:

Kanonik Sotkiewicz, Administrator Archidiecezji Warszawskiej.

Książd Chelmiński.

Józef Kasznica, Dziekan Uniwersytetu.

Wacław Szymanowski, Red. „Kuryera Warsz.“

Jenerał Starynkiewicz, prezydent Miasta.

Mecenas Wierzchlejski.

Sędzia Moldenhawer.

Mecenas Dębski.

Jan Jeleński.

Ignacy Chodorowicz.

Marya Ilnicka.

cząć. Zanim wszakże zapytam o dzieje ostatnich lat siedmiu, to powiedz pan, przez wzgląd na starą przyjaźń, szczerze, czy tak nagle w te strony nie zagnała pana jakaś potrzeba... niedostatek — do dała zaledwie dosłyszonym głosem.

Silny rumieniec wystąpił na bladą twarz Konrada, gestym, czarnym, okoloną zarostem. Spuścił w dół oczy, jakgdyby słowa Janiny przywołały mu na pamięć bolesne wspomnienie.

— Dziękuję pani, — odrzekł po krótkiej przerwie szczerze i poważnie — dziękuję stokroć za ten objaw zawsze dobrego serca. Nie jestem ja dziś owym Konradkiem, nie jestem owym dziecięciem bez rodziny i nazwiska, rzuconem niemiłosiernie na pastwę wichrów, huczących wśród śnieżnej zawiei. Los odwrócił się do mnie nareszcie z uśmiechniętem obliczem.

— Czy być może? — przerwała radośnie.

— Przy waszej opiece, przez waszą troskę szlachetną, wzrosłem i wychowałem się, a resztę zawdzięczam już własnej, bardzo ciężkiej, pracy.

— Nie wątpiam o tem nigdy.

— Wyjechałem w świat, poza granice kraju z wiarą w siebie i zapalem dla wiedzy.

— A gdzie pan przebywałeś?

— Utrzymując się z lekcji matematyki i niemieckiego języka, skończyłem w Paryżu szkołę górniczą w ten sposób, że pozyskałem uznanie swoich zwierzchników, którzy mnie też gorąco polecieli kilku kopalnianym towarzystwom w Ameryce.

— Bravo! Czegóż się dowiaduję! — pan Konrad górnikiem!

— Wyjechałem tam niebawem, a otrzymawszy korzystną posadę, wdzieralem się do wnętrza ziemi w Stanach Zjednoczonych, Peru, Chili, Brazylii i na Kaukazie, poszukując złota, srebra, węgla lub czegokolwiek, za coby tylko złoto otrzymać można. Potem byłem dyrektorem kopalni węgla kamiennego w Anglii, następnie na Uralu, a dziś... jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki; zdobyłem sobie naukę i poniekąd byt niezależny. Taką jest moja przeszłość.

— Winszuję panu, odrzekła Janina z widocznym zadowoleniem. — A jakie pan snujesz plany na przyszłość, jeżeli zapytać wolno?

— Nie obmyśliłem jeszcze żadnych, pragnąłbym tylko poświęcić się nadal zawodowi i zajęciom czysto praktycznym. Skłania mnie ku temu moje usposobienie i sądzę, że dobrze mi będzie na świecie, jeżeli we wszystkich okolicznościach życia stosować będę naukę, jaką z przeszłości dla siebie wyciągnąłem.

— Bardzo ciekawa tej zamorskiej mądrości.

— Tą nauką — ciągnął dalej Konrad — jest tylko zimna we wszystkim rachuba i osobisty interes, który zawsze należy mieć na widoku...

— Co?! co! — krzyknęła przerażona, tak, że koń ruszył się z miejsca, jak gdyby i on podzielał oburzenie swej pani. I pan to mówisz na prawdę? cóż z pana zrobili ci straszni Amerykanie?

— Pojmuję zdziwienie łaskawej pani, lecz proszę zważyć, że życie moje od kolebki nie biegło takim, jak innych ludzi, torem, a siedm lat ciężkich, szczególnych warunków, mogło zmienić najtwardszy charakter i najtrwalsze poglądy ludzkie. Dawno już doszedłem do przekonania, że spokojna, w każdym położeniu życia rachuba: to najkrótsza i najmędrsza droga postępowania; poświęcenie się zaś, czyto w większym, czy w mniejszym stopniu i inne tego rodzaju sentymenta, wykraczające poza sferę życiowych stosunków, są gorączką, która chwilowo unosi może w świat inny, lepszy, jaśniejszy, lecz nigdy do trwałego nie doprowadzi celu.

— Wszystko to dla mnie bardzo niejasne — odrzekła z łagodnym uśmiechem — i mogłabym pana pobić jego własną bronią; nie chcę jednak czynić tego przy tem pierwszym spotkaniu. Szerszą w tym przedmiocie rozmowę zamawiam u siebie w domu. Spodziewam się, że w pańskiej rachubie wypadnie choć jedna godzinka dla towarzyszek lat dziecinnych.

Rozmowa urwała się na chwilę. Janina, rozważając coś w myśli, poczęła od niechcienia przypatrywać się żółtej, rozkwitłej róży, która, widocznie słabo do sukni przypięta, upadła w chwili owej na ziemię.

Konrad podniósł ją szybko z ziemi i zatrzymał w rękach.

— Czy widziałeś pan kiedykolwiek tak śliczną różę? Przyjrzyj się, powąchaj i podziwiał, co to za śliczny twór natury. Jak te płatki trzymają się razem, jak piętrzą i zaokrąglają się ładnie! Widok rozkwitłych kwiatów oddziaływa na mnie bardzo korzystnie, ożywia i często rozprasza najsmutniejsze myśli. Może to dla tego, że i tu dopatrzeć się można zimnej, spokojnej rachuby. Wszak bez niej byłoby płatków bez liku, bez niej nie byłoby symetrii, bez niej nie byłoby niczego. A czy pana, — dodała, nagle zmieniając ton i nadając inny zwrot rozmowie, — do Kijana z Uralu nie sprowadziło czasem równanie stopnia wyższego?

— Jeżeli pani mierzysz na stopnie, to powiem, że najwyższego, — odrzekł, rzuciwszy na nią od niechcienia wzrokiem i głaszcząc grzywę swego wierzchowca.

— Stopnia najwyższego? Co to ma znaczyć?

— Najwyższego... przypadku.

— To znaczy chyba, że odwiedziny pańskie zawdzięczam najzwyczajszemu przypadkowi — odpowiedziała spokojnie.

— Tak jest, prawdę zwykłem mówić bez żadnego wyrachowania. Przejedźdzałem przez te strony w interesie towarzystwa górniczego, którego czynnym jestem członkiem. W drodze pękła oś od dyliżansu pocztowego. Zatrzymałem się więc w tem miejscu, rad z przypadkowego wypadku, a rozejrzawszy się po okolicy, poznałem bystrą i głęboką rzeczkę przez pola rwącą się do Wisły, płynącej tam daleko... poznałem szum świerkowego lasu, poczułem zapach ojczystych łąnów, dojrzałem na wzgórzu biały, murowany dworec; poznałem to wszystko odrazu, a w głowie zaszumiało mi nagle, czy z radości czy z natłoku wzruszeń: dość, że dziś przybiegłem tu nad światem, chciałem biedz do dworu, rzucić się do rzeki, pędzić do lasu, uściskać każde drzewo z osobna, chciałem tego dokonać odrazu i w jednej chwili... nie wiedziałem co począć... szalałem ze zbytku szczęścia i wesela!... Ale cóż to panią obchodzi?...

— Owszem, słucham z przyjemnością, dla mnie są to odgłosy lepszej przeszłości.

— Tak, trochę rozgorączkowane... odwiodły od rzeczywistego toku opowiadania... Otóż zatrzymałem się w tej okolicy, przypomniałem sobie, że tu kilkakrotnie robione były poszukiwania górnicze. Udałem się więc na grunt i zbadałem, wymierzyłem: i oto dziś już, rzucić pani łaskawie okiem. poza las, na pole: robotnicy moi pracują od świtu w pocie czoła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Izrael na puszczy, obraz dramatyczny w 5 odsłonach, wierszem, oryginalnie przez p. Juliana Łętowskiego napisany, przedstawiony poraz pierwszy na scenie Teatru Letniego w Warszawie, w d. 13 Lipca 1881 r. Muzyka do śpiewu p. Michała Hertza.

Po trzydziestu latach wędrówki przez skaliste puszcze oddzielające północny Egipt od Ziemi Obiecanej wielki człowiek, który wiodł do niej Lud Wybrany, zatrzymał go w Moabie, o trzydzieści zaledwie mil od Jordanu, poza którym już znajdowała się owa „ziemia mlekiem i miodem płynąca“. Rzecz dziwna! Dostanie się za Jordan było dla Mojżesza tem, czem dla jego ludu w ciemnościach nocy słup ognisty; aby wejść do Ziemi Obiecanej, aby opanować terytorium przytykające aż do morza, a więc sposobne do politycznego rozwoju, potężny wola, a bezsilny cnota swoją człowiek postawił był ideał Jedyne Boga; dla tego celu pracował i cierpiał, znosił tysiączne męki, od każdej wyższej a nieszczęśliwej miłości nieodłączne — wszystko, wszystko zrobił, czego potrzebował, aby, znalazłszy się raz za Jordanem, z tłuszczy i hordy wytworzyć naród i państwo: a tymczasem teraz, gdy był już tak blisko celu, lata całe trawił na obozowaniu, nieruszając się z miejsca i jakby na cel swój niepomnąc. Zwojowanie Amorejczyków przypada na dwa ostatnie

lata życia genialnego męża; przez kilka poprzednich, do dziesięciu, panowała zupełna w pochodzie do Chanaanu, bezczynność. Chcąc ją wyrozumieć, potrzeba, nie tylko trzymać się słów Biblii, ale w opowiadanie jej wprowadzić jeszcze to, czego ona sama domyślać się pozwala: ciągle bunt, rewolucye wewnętrzne, niewątpliwie nawet zamachy na życie wodza — walkę Mojżesza z własnym ludem, który ani świeckiego ani religijnego zakonu swego zachowywać nie chciał, a znalazłszy się po długich latach w kraju szczęśliwiej uposażonym niż pustynie edomskie i midyanickie, zmysłową naturę swoją zpod jarzma ideału wyzwolił, na używanie i lenistwo rozpasał. „Dobrze nam tu z kobietami moabskimi i z bogiem moabskim; dobrze nam tu i, jeśli iść chcesz, idź sam!“ taką dawał odpowiedź na głos Mojżesza ów Lud Wybrany, lud niesforny i jak piasek pustyni ruchomy.

Dla wielkiego męża nastaly dni wielkiego smutku. Całość narodowa z takim wytwarzana mozołem, rozpadała się; moralność zbrukana, prawo zdeptane, wiara w prawdziwego Boga spalona na ołtarzach Baal-Fegora i innych upostaciowań rozkoszy u Semitów ówczesnych; życie trudne, ale ludzkie, zamienione na łatwiejsze, ale zwierzęce; majestat mojżeszowy rozszarpany przez ambitnych i nędznych; rząd ideału, rząd rozumu stracony w przepaść; cała przyszłość, wymarzona, wymodlona, wysniona, — w gruzach: mogła większa nicość roztworzyć się przed duszą Mojżesza? Ogarniała go rozpacz; na lud swój ciskał on straszne kary zakonu i straszniejsze pioruny wymowy; ale w cichości serca, w rozmowach z Bogiem, nieraz może oko jego, do potęgi stworzone, łza niemocy paliła.

W tych smutnych dniach pobytu między Moabczykami, a nie wcześniej, spaść musiał na Mojżesza, jako kara za zwątpienie, ów straszny wyrok, który mocarza-przewodnika do Ziemi Obiecanej odsądził od prawa wejścia do niej. Wyrok i kara za co? Zaiste, jeżeli Bóg karze synów za winy ojców — a karze aż do siódmego pokolenia — to więcej sprawiedliwości bożej niż w owym niemiłosiernym interdycie widzimy w ostatecznym losie powszechności, która największego syna swego i wodza przepędziła przez ogniste piekło miłości i trudu dla niewdzięcznych.

Ale stało się — i Mojżesz cierpiał, aby dać pierwszy w Historii dowód, że dzieje są tylko przedzieraniem się rozpaczliwym rozumem i ideałem w jednostkach przez ciemność i zwierzęcość w massach. Księga *Numeri* (Księga XXV) opowiada nam, że gdy się, przejęta od Moabczyków, cześć Baal-Fegora rozpowszechniła między Izraelitami, niejaki Zamry, syn Salów, z pokolenia Symeonowego, wbrew zakazowi Mojżesza przywiodł do braci swej i wprowadził do namiotu zgromadzenia, Madyanitkę, Kosbę, córkę Sury; co gdy ujrzał Finees, syn Eleazara, syna Aarona kapłana, wziął w ręce swe oszczep, wszedł do namiotu i przebił oboje, owego męża i niewiastę — „i odwrócona była plaga od synów izraelskich. A byty tych, co pomarli oną plagą, dwadzieścia i cztery tysiące“ — dodaje lakonicznie Biblia.

Był to więc bunt wielki przeciwko Bogu i Mojżeszowi, skoro aż dwadzieścia cztery tysiące wytracić było potrzeba, aby go uśmierzyć. Przeprowadzenie „Madyanitki“ (tak Biblia nazywa *Midyanitów*) do zwykłego namiotu, nie zasługiwałoby jako fakt indywidualny na zaznaczenie: takich Madyanitek i Moabitek (tych ostatnich więcej ze względu na geografiją), takich namiotów było tysiące: znaczenia historycznego nabiera zuchwastwo Zamrego dopiero przez to, że namiot był „namiotem zgromadzenia“. Kto wie, na czem polegała cześć Baala, ten zda sobie odrazu sprawę z ważności faktu. Zamry był jednym z książąt Izraela i poważał się publicznie wprowadzać cześć niegodziwego boga. Był on niewątpliwie przewodzącą odpadającego od Jehowy narodu swego i tylko jako taki mógł otrzymać hanbiące wspomnienie w księdze świętej.

Wypadek ten biblijny dostarczył młodemu poecie, p. Julianowi Łętowskiemu, wątku do dramatu *Izrael na puszczy*. Wyobraźnia, bądź samego twórcy, bądź też którego z dawniejszych poddanych Królestwa Poezyi, uzupełniła opowiadanie

Biblii osobistościami, stosunkami i faktami duchowymi, potrzebnymi dla wytworzenia obrazu kłębiącego się i ścierającego z sobą człowieczeństwa. P. Łętowski wprowadził, jako współczesną wypadkowi Noah, kochaną przez Jozuego a kochającą Zamrego; wprowadził „króla“ Midyanitów Balaama, tego samego, którego-to oślica przemówiła była językiem ludzkim, a którego prorocstwa złożyły hold przyszłej wielkości Izraela; Reba, arcykapłana Baal Fegora, Melchę, siostrę Noah; i wiele postaci, nie historycznych, ale życiowych, z ludu, które jeśli rzeczywiście w indywidualnościach swoich nie istniały, to w typach istnieć musiały. Oprócz powyższych wchodzi do dramatu Mojżesz, Finees, młodzieńczy Jozue; wchodzi Balak, król Moabu, rzeczywisty wróg Izraelitów, który, po wytepieniu Midyanitów i zawojowaniu Amorejczyków, o własny los swój drżeć musiał.

Jako pierwsza próba poety młodego, nieobytego jeszcze z objawami-tajemnicami życia i majestatem Historii, dramat p. Łętowskiego zasługuje na wszelkie uznanie, i słusznie go też na konkursie krakowskim r. 1879 odznaczono. Jestto utwór przejęty nawskroś szlachetnością duszy autora, jako człowieka i jako poety. Znajdują się w nim sceny nieszcześliwej miłości gorąco, głęboko odczute i wyrażone z gorącością a prostotą słowa. Ta prostota daje nam najważniejszą rękojmią przyszłości poetyckiej p. Łętowskiego. Autor ma uczucie szczere, ma talent i kluczem tego talentu otwiera sobie wnętrza serc ludzkich niekiedy bardzo szczęśliwie; odczuwa wielkość Mojżesza, obłąd Zamrego, niedolę tragiczną Noah; umie się nawet liczyć z wymaganiami tego bezimiennego życia, jakim żyją masy w każdym narodzie, w każdym ważniejszym wypadku: będziemy mieli w nim kiedyś poetę, który tragiczność potrafi dobrze kształtować, nie wyda dziedzictwa Jakubowego za misę soczewicy i poezji na poziomy powszedniości i tak zwanego realizmu nie sprawdzi. Niechaj mu słońce ideału przyswieca w jego pielgrzymce. Pielgrzymka ta może być wesołą lub bolesną: tej ostatniej wolimy życzyć autorowi. Prawdziwej poezji częściej bywa matką boleść niż rozkosz, walka częściej niż spokojne używanie. Z oceanu życia wydobędzie się zawsze talent prawdziwy na spokojny brzeg artystycznej twórczości. Nikt nie tworzył, kto nie walczył, nie kochał, nie cierpiał i nie poznawał.

Talent p. Łętowskiego dzielniej radzi sobie z liryką niż z dramatycznością. Architektonika dramatyczna, wyzyskiwanie stanów i stosunków dusz ludzkich dla istotnej silnej walki dramatycznej — ustępują pierwszeństwa umiejności w malowaniu stanów uczuciowych samych w sobie. Budowa dramatu okazuje, że budowniczy niedawno sztukę swoją uprawia. Bardzo słabem jest wprowadzenie akcyi do Midyanitów; obciąża tylko dramat niepotrzebnym balastem i kazi lub płaszczy charakteru. Umieszczenie Selli w namiocie niezręczne, dramatyczno-jałowe, nie odpowiada, ani prawdziwemu historycznemu znaczeniu, ani powadze wydarzenia. Zabicie Lewity przez Noah zamiast potęgować cześć dla cierpienia i charakteru Noahy, wstręt od niej budzi. Chociaż w każdym dramacie historycznym sztuka żyje tylko przez wiekiście żywą historią serca ludzkiego, i wypadki dawne, *nie-nasze* zajmują nas o tyle jedynie, o ile w nich się uczucia dzisiejsze, *nasze* w niezmiennej prawdzie swojej odnajdują, błędem jednakże w dramacie p. Łętowskiego jest zaniedbanie działań i działaczy gromadnych, a szermowanie ludu w akcie I, tchórzliwy apetyt do zlego w IV nie wypełniają próżni, która woła o coś więcej: o rokosz przeciwko Mojżeszowi, o potężne stronnictwo, na którego czele sam Zamry stanął. I w tem również przejawiać się mogła wiekuista prawda serca ludzkiego — fakt stojący na wysokości sztuki.

Zpomędzy wszystkich charakterów najlepiej wydał nam się wytworzonym charakter Noah; autor z zamiłowaniem natchnienie mu swoje i pióro poświęcił. Po Noah idzie Sella, zmysłowe dziecko natury, drzące przed śmiercią własną a obojętne na śmierć kochanki. Finees niezgorzyszy, ale nie czuć w nim przyszłego pogromcy Midyanitów. Czysty, przezroczystry nawet, powie-

dzielibyśmy, Jozue — przedstawia żywioł silnie liryczny dramatu. Ówczesna natura mogła się na taką duszę nawet wpośród Izraelitów po puszczy błędzących zdobyć; trochę umiarkowania, a ten Jozue p. Łętowskiego byłby najzupełniej prawdziwym. Tak n. p. niepotrzebne jest owo pesymistyczne: „Czem ziemskie szczęście?...“ zakończające akt III. Mojżesz nie jest młodym, ale jest konwencyonalnym. Zamry pospolity, nie oryginalnego niemający, z lichymi dźwigniami czynów i w lichych przedstawiony warunkach; braknie mu właśnie tego, żeby był naczelnikiem spisku przeciwko Jehowie i Mojżeszowi.

Wysławianie się poezji w utworze p. Łętowskiego z nielicznymi wyjątkami, np. (*Namuel* str. 55 *Jesser* i *Noah* str. 100) dobre, szlachetne, poetyczne, a nie przesadzone. Są miejsca porywające; są inne, które rozczulają. Pięknie przemawia Mojżesz w scenie z Aktem I; z początku dobrze się odzywa Zamry; najpiękniej mówią przez całą sztukę Noah i Jozue. Język wszędzie poprawny; wyjątki dostrzegaliśmy: na str. 23 *po zwycięstwie* str. 32: „*starać się minąć go*“; str. 56: „*Czemu ty lubym zwiódłś mnie obrazem?*“; str. 57: „*pamięć jednego poranka kobiety*“; str. 90: „*wieczór będzie burza*“ str. 120: „*znów nowa kara...*“ Niezręcznym wyrażeniem jest: *głowa ciębie bolała* (str. 23), błędem psychologicznym „*słoneczko*“, w ustach Noah (str. 93). Wiersz biały bynajmniej nie razi, i pedanci domagający się zawsze i wszędzie rymów, nienawróceni przez Słowackiego, mogą na tym dramacie poznać, że rym nie jest arką poezji, że poezja żyje poza nim, jeśli żyje tylko w duszy poety. Biały wiersz razi tylko wtedy, gdy sam z siebie jest złym, lub gdy okrywa nagosić i ubóstwo myśli białych, pospolitych, pozbawionych poetyczności, obywatelskich się bez obrazów imaginacji lub głębszych prawd o życiu i istocie natury lub człowieka. Zła poezja będzie zawsze złą, czy ją rymowym czy bezrymowym wyrazimy wierszem.

Jeżeli historyczność rzeczy napisanej jest bardzo wątpliwa, historyczność przedstawionej była jeszcze wątpliwszą. Tylko sceny prawdziwie europejskie, gdzie teatr ma na usługi swoje wiedzę głęboką i kredyt nieograniczony, mogą sobie na zbytek oile można prawdopodobnego przedstawiania takich sztuk, jak *Izrael* (XIV w. przed Chr.) pozwalać. U nas robiono, co się dało, tak pod względem historyczności, jak i wystawności. Dla podniesienia tej ostatniej p. Hertz napisał muzykę do hymnu w początku Aktem II.

Izrael przedstawiony różni się znacznie od *Izraela* wydrukowanego. Co do samej budowy sztuki różnicę tę stwierdzają akt II-m, IV-m i V-m; we wszystkich zresztą aktach znajdują się zmiany w wyrażeniach, dodatki i wyrzutne, bądź przez samego Autora, bądź przez reżyserję, wprowadzone. W przedstawieniu wzbogacono przemówienia Mojżesza w akcie I, w scenie V i VI, którą kończy okrzyk: „*Dalej za mną, lewici!*“ W rozmowie jednej pary zakochanych: Finees i Melchy, z drugą: Zamrym i Noah, głos Fineesa wzbogacono, a zakończającą scenę rozmowa z kochanką zmieniona. W akcie II scena IV wyrzucona zupełnie; sceny V i VI umieszczone przed III. W scenie IX Namuel odmiennie przemawia. W akcie III skrócono monolog Jozuego, od słów „*Młodości ludzka...*“ i wyznanie konającego Namuela, a dodano słów Noah w scenie VI i zmieniono jej głos w scenie VII. W akcie IV w scenie III Zamry mówi już te słowa, które przypadają mu dopiero po wskazaniu Jozuego; pojedynek pomiędzy Jozuem a Zamrym całkiem usunięto; w zakończeniu tej sceny Jozue monologuje. W akcie IV scena VI następuje zaraz po IV. W scenie I aktu V rozmowa Noah z Melchą dobrze zaokrąglona. W scenie II Jozue żegna Noah dłuższymi słowami; potem Noah monologuje o odwadze. W scenie IV wyrzucono bardzo słusznie Zamremu szyderstwo z kobiety. W scenie V Tola nie umiera i Zamry go nie przebija; ze sceny VII usunięto nie potrzebnych już grabarzy. W scenach VIII i IX rozłożono inaczej słowa pomiędzy osoby. Od sceny X Mojżesza zastępuje Finees, którego znowu na początku sceny XII wyręcza Posłaniec. W scenie XII Noah, która w książce wbrew Biblii sama zabija Sella, (tak się nazywa w dramacie „*Kozba*“), w teatrze po-

przestaje na samobójstwie. Oczywiście, że wskutek tego i scena ostatnia uleść musiała zmianie.

Zmieniał autor, zmieniała reżyserja, zmieniali też i aktorowie, którym się wystawienie dzieła dostało. Kaleczono wiersze, dodawano lub ujmowano wyrazy, a najulubieńszym dodatkiem był wykrzyknik „*O*“. Naprzykład w scenie X aktu I zaledwie p. Leszczyński (Zamry) zrobił sobie tę przyjemność przed wyrazem „*prowadź*“, alisci zaraz p. Derynżanka (Noah) wzmocniła wykrzyknikiem „*i ty tensam, Zamry*“. W scenie XIV aktu I-go „*Róże wonne*“ zmieniono na „*róża polna*“. Namuel w scenie XV zjada *v* i zostawia „*chmur*“. Jeżeli „*starać się minąć go*“ zmieniła sama Noah, uważamy jej to za zasługę, podobnie jak i „*słoneczko*“ (str. 93) i „*oddam miłością*“ (str. 110). W scenie VIII aktu IV p. Derynżanka „*wspominając*“ zamienia na „*przypominając*“; w scenie IX opuszcza „*dzisiaj*“ (str. 93). Za to wkrótce potem p. Leszczyński doda „*ja*“, przestawi bez słusności wyrazy „*ja ojca mam*“ na „*mam ojca*“, „*on mnie kochał*“ wzmocni przez wtrącenie „*tak*“. W scenie X pan L. zmienił „*Idź*“ na „*Ruszaj*“ (str. 98). Ze str. 101 panna D. zabrała „*człowiecze*“ a „*a zabieraj*“ postawiła na miejsce „*zabierz*“; zwróciła później „*człowieka*“ ale na to tylko, aby go umieścić w miejsce wyrazu „*leniuchu*“, na czem, oczywiście, text nie zyskał. Do Nr 104 dodał Jozue „*jeszcze*“ po wyrazie „*błyśnie*“. Na str. 108 i 109 zaznaczyliśmy dodanie przez pannę D. wyrazu „*Pożegnać*“ przed „*Gdzie idziesz?*“ i dwa przeistoczenia: „*brzasku*“ na „*blasku*“ i „*plamki*“ na „*skazy*“.

O grze artystów rozpisywać się nie możemy. Prócz p. Derynżanki i p. Leszczyńskiego grali jeszcze: panny: Wiśnowska (Sella) i Czakówna (Melcha); panowie: Grzywiński (Mojżesz), Kotarbiński (Jozue), Wolski (Finees); inni mieli role pomniejszych.

Pan Leszczyński jest ciągle jednakowym: rozumie mało, czuje mniej jeszcze, wierszy deklamować nie umie. Panna Derynżanka od czasów *Fedry*, dla Rychtera w r. z. wystawionej, stała się malarką na efekt, na gruby, jaskrawy efekt. Jej czułość jest udaną, a tylko niedługie przemówienia, gwałtownej siły wymagające, udają się dobrze. Monologów jej prawie słuchać nie można; wprowadziła do nich artystka nieprawdziwą powolność w wysławianiu, wstrętne cedzenie wyrazów przez zęby. Objawia się tu taka sztuczność, taka przesada i ekliwość, że gdybyśmy nie znali i nie cenili talentu p. Derynżanki, nie moglibyśmy jej uznać za uprawnioną do stanowiska pierwszej gwiazdy na pierwszej scenie polskiej. Wskutek przesady zastępującej rzeczywistość, prawdziwie odczuwanie, polszczyzna p. Derynżanki zamienia się w coś okropnego: lepi się to jak klajster, ciągnie jak smoła. W monologu sceny VIII aktu IV każdy wyraz ważył centnar. Artystce sprawia to największą przyjemność, gdy może wymówić „*dela*“ „*getupie*“, gdy samogłoski zdwaja i straja, gdy np. na str. 87 powie: „*oszaalała*“ lub na słodki“ (str. 92) da taki akcent, jakiego żaden język nigdy nie posiadał i posiadać nie będzie, co się da wyrazić tylko przez trzy i po sobie idące. Niezależnie od tej przesady, którą krytyka jaknajsurowiej wytykać ma obowiązek, zauważyliśmy, nie poraz pierwszy, brak dostatecznego obmyślenia i opracowania roli. Brakiem tym tłómaczymy sobie błędne zupełnie wystowienie: „*Nie, nie*“ (str. 21), „*I ty widziałeś to i nie pomogłeś?*“ (str. 25), „*Głupie, nieszczęsne łyzy ludzkiego serca*“ (str. 25), „*Ach, to sądziłbyś*“ (str. 92), „*bo mi serce pęka*“ (str. 96) i innych. Brakowi temu również przypisujemy niewłaściwy ruch rąk po wyrazach: „*Oto, co myślę*“ (str. 108) i przesadne obcieranie rąk po zabicu Jessera (str. 103). W pasowaniu się Jozuego z Noah p. Kotarbiński nie powinien tak szarpać artystki; mocowanie się to jest bez miłości... rękę miłosną w zabijaniu nawet poznać można.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

„Antyгона“ — Siemiradzki. — Rossowski. — Jerichau-Baumann. Pielgrzymi słowiańscy. — Stowarzyszenia słowiańskie i kobiece. Król loteryi. — Jasność w nocy. — Karty. — Wycieczki na wieś. — Kuplet o Wiedniu.

Wiedeń, w Czerwcu 1881 r.

(?) Nie pisałem dawno o teatrach tutejszych, bo, ściśle biorąc, nie było o czem. — wogóle nie nowego. *Król Eryk* Wilbrandta, jedyna ważniejsza nowość, jest tak nudny i deklamacyjny, jak i poprzednie utwory tego autora, który może ma idee, ale wygłasza tyrady, a o dramatyczność daremnie się stara nazimno. Na zakończenie sezonu, jakby w myśl przysłowia: „koniec wieńczy dzieło“, dano cztery razy — *Antygonę* Sofoklesa. Cztery razy teatr był pełny, koleje żelazne urządziły osobne pociągi, które w dzień przedstawień rozwoziły widzów o godzinie 12 w nocy na 12 mil odległości. Powodzenie zatem zupełne. publiczność „szeroka“, t. j. niższe warstwy, zaczęły z krynicy najklassyczeńszej poezji i smakowały w niej widocznie, choćby przez ciekawość tylko. Wyjdzia im to na pożytek, i częstsze tego rodzaju wzuwienia rzeczy od 200 przeszło lat podziwianych, a wybranym tylko przystępnych, są bardzo pożądane. Przyznawszy to wszystko, trzeba dodać, że mimo to przedstawienie było zupełnie chybione. Uzasadnię pokrótce twierdzenie moje z tem większą skwapliwością, że w Warszawie ma być przedstawiony polsko-grecki dramat Kochanowskiego *Odprawa Postów*, więc uwagi z doświadczenia, z praktyki, mogą mieć znaczenie.

Chybiono w zasadzie, dając *Antygonę*, nie w teatrze dramatu, ale w teatrze opery, w tym ostatnim dla tego, że postanowiono chóry *wyspiewywać*. Jak się odbywało u Greków wygłaszanie chórów, nie jest to zupełnie, z požądaniem szczegółami, zbadanem; różne są domniemania: to jednak pewna, że publiczność dzisiejsza, jeżeli zostaje pozbawioną tekstu chórów, traci połowę dramatu. Chóry mogą być tylko mówione, a już co najwięcej, dopiero po wypowiedzeniu mogłyby niektóre być wyspiewywanymi, jeżeli inne warunki sceniczne na to pozwalają.

Bądźco bądź, albo trzeba *ile możliwości* zachować warunki sceny greckiej, ale dramatu klassycznego nie przedstawiać. Używanie masek i koturnów jest niemożliwym; lecz starożytna orkiestra, t. j. miejsce dla chórów, ołtarz na środku sceny, przedstawiającej plac otwarty, a w głębi zwykle pałac książęcy, chór niżej, aktorzy na podwyższeniu — zachowanie tych warunków jest konieczne i, nie tylko nie przeszkadza, ale owszem ułatwia odtworzenie całości i zrozumienie jej. Tutaj postąpiono inaczej: unowocześniono całe przedstawienie, dla tego też nie kleiło się ono... było dziwnem. Orkiestry nie było, chór zajmował oba boki sceny, której prawa strona przedstawiała wysunięte naprzód schody, wiodące do pałacu. Chóry na scenie śpiewały, stojąc około małej kolumny jakiejś, mającej przedstawiać ołtarz; wychodzenie aktorów z boku mogło ułatwiać pewne pozy na schodach, ale zasłaniało główny, potrzebny widok na pałac. Tym sposobem z dramatu zrobiła się niby opera, gdy zaś muzyka towarzyszy także niektórym scenom akcyj, więc był to nawet po części dramat liryczny. Przez to wszystko sam poziom wzniesłego utworu obniżono. Artysty grali wogóle poprawnie, lecz sama *Antygonę* zadowolnić nie mogła. Słynna pani Wolter deklamowała pięknie, nosiła strój grecki bardzo umiejętnie, pozowała wspianale, to, co chciała, zrobiła świetnie; ale było to zupełnie fałszywe pojęcie roli. Najpierw już z powodów fizycznych p. Wolter 101i tej grać nie może: już jest na to zamało młoda a zanadto korpułentna. Przytem od początku stanęła artystka na koturnie najwyższego patosu, naznaczyła odrazu *Antygonę* jako bohaterkę głośną i odważną, podczas, gdy jest to dziewczica uczuć głębokich, ale dziewczica, która stopniowo wznosi się do bohaterstwa, działa z urokiem uczucia; siła jego czyni ją odważną, silną i śmiałą, a przeciw przytem nieprze-

staje ona być gołąbką, tak, iż rozpacz tej bohaterki na widok śmierci, serdeczna boleść i żal za życiem, — nie są dziwne, owszem zupełnie naturalne. Któż jej nie zna? — a jeżeli nie zna, niech czyta przekład p. Kaszewskiego. — Wielka to trudność pogodzić i harmonijnie połączyć w grze dwa te główne pierwiastki: kobiecą serdeczność i słabość dziewczęcia, z głębią uczuć córki Edypa, kapłanki uczuć rodzinnych. Pani Wolter przedstawiła tylko jedną stronę, tylko bohaterstwo: dlatego sceny płaczu i rozpacz wypadły słabo, zimno, mimo ślicznej deklamacji i ruchów. Nie było w tem odtworzeniu scenicznym ducha niepodzielnej całości; przebijalo się w niem mylne pojęcie charakteru. Widać to było najlepiej w scenie ostatniej *Antygony*; nie mogła zrozumieć p. Wolter: jak to może być, żeby bohaterka po serdecznym płaczu, cicho, jak baranek schodziła ze sceny, aby się już więcej nie pokazać, nie mogła pojąć, że to właśnie przystoi dziewczycy: tak jej przystało płakać i marzyć głośno, jej, która szła mimo to na pewną śmierć czyniąc, co było zakazanem, lecz jej świętem się zdawało. Dlatego też musiała artystka wynaleźć sobie odpowiednie do swojego pojęcia zakończenie i — uzupełniła Sofoklesa! — sceną niemą, ostatniego pożegnania z chórem, ze światem, ostatniego spojrzenia nań zpod czarnej zasłony, sceną bohaterskiego zejścia z widowni. Było to samo w sobie bardzo ładnem, ale raziło w sztuce, przeciwstawiało się charakterowi greckiemu sztuki, jako coś jej wrogiego. Oileż piękniejszym jest, głębszem, to, co się w samej sztuce znajduje! — *Antygonę* płacze, rozpacza: i to mimowolny krzyk serca zranionego, w którym miłość zakwitła; i zaraz po tem zniknięcie z dziewczkami, które ją do grobu odprowadzają, jakby przeczuwając te wybuchy żalu, te jęki. Jest to jakby zasłonięcie na obrazie twarzy osoby rozpaczającej, dla okazania, że rozpacz ta jest wyższą nad wszelki wyraz, jakiby jej mógł nadać artysta. Jest to greckie: pani Wolter zrobiła rzecz nie-grecką, melodramatyczną, niemal baletową pantomimę. P. Wolter jest wyborną tragiczką, *Fedra*, *Lady Macbeth*; ale *Antygonę* — w żaden sposób.

Muzyka Mendelssohna ma wspaniałe ustępy; lecz chóry te śpiewne na nowożytnym scenie nic a nic mimo to nie przypominają starożytnych, i są tylko kwartetami i chórami dzisiejszemi, operowemi. Gdyby były mówione, a stały oba oddziały chóru w orkiestrze, to po tem i odśpiewanie ich z właściwego miejsca zrobiłoby potężne wrażenie. Nie można chcieć dramatu klassycznego przerabiać na nieprzerwany łańcuch scen, bo tego w nim niema; są przerwy — są chóry, ale to tylko pozorna przerwa dla tem większego uwydatnienia grozy, znaczenia i wewnętrznego związku akcji. Wprowadzenie chóru dzisiejszego właśnie dopiero wątek przerywa i wrażenie u widza, nie podnosi, ale osłabia.

Jednak, nawet chybione przedstawienie robi przecież wielkie wrażenie, ujmuje i przejmuję, daje publiczności prawdziwą poezją, choć w złych warunkach. „W wielkich rzeczach usiłować już wystarcza“ — mówi przysłowie rzymskie.

Z jednego przybytku sztuki przejdźmy do drugiego.

Nie podobna pisać o wszystkich nowych obrazach, które się tu pojawiają i nie o wszystkich warto; ale z dumą można stwierdzić, że ilekroć się pojawią obrazy *polskich* artystów, jest to zawsze jakby rozpoczęcie się nowego sezonu na wystawie i ożywia się krytyka. Tak się ma mieć teraz. Siemiradzki przysłał obraz średniej wielkości: *Skok Tyberyusza*. Jest to ilustracja stosunków i życia rzymskiego za Cezarów. Ze skały strącono na dół skazanych, leżą ich martwe ciała — a w to samo miejsce, nad brzeg morza, przychodzi tańczące i grające grono mężczyzn z pochodniami, w wieńcach róż na głowach, widocznie grono biesiadników po całonocnym szale. Są to dwa przeciwieństwa; tak samo jak w krajobrazie nadmorskim są przeciwieństwa zmroku a brzaśku, brzaśku a światła od pochodni. Ranzoni, mający tutaj imię najlepszego znawcy i krytyka, tak pisze o najnowszym obrazie Siemiradzkiego: „W tym pretensjonalnym obrazie niema wcale wewnętrznej tęgości. Katalog, który obszernie objaśnia, opowiada: — „Po nocnej orgii przybywa

grono gości cesarskich, — kwiatami ustrojoni mężczyźni i kobiety — do osławionych skał, zwanych „Skok Tyberyusza“, z których szczytu skazanych i ofiary tyрана strącano. Wobec pogruchotanych ciał dwóch takich nieszczęśliwych wita towarzystwo tańcem i śpiewem jutrzeńkę wschodzącą na widnokręgu morza“. Artysta spekulował na pieprzonym (*picant*) kontrast, który z założenia wynika, gdyż dzikie bachantki wobec dwóch pokrwawionych trupów mogą u zwykłych natur wywołać tę lubą grozę, dla którejby-to tłuszcza od niepamiętnych czasów cisnęła się na widowiska tracenia.

(Dokończenie nastąpi).

IRLANDYA RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł)

(Dokończenie).

8. W r. 1877 spadł na Irlandyę nieurodzaj i powtórzył się przez dwa lata następne. Stosunki rolne wystąpiły znowu na widownię, ze wszystkimi swemi dolegliwościami, z jęcząciami się ranami społecznymi. Prześstępstwa, a raczej, jak dobrze nazwano, zdrożności agrarne zaczęły się mnożyć; zabójstwa i zamachy na życie weszły na porządek dzienny, szczególnie w hrabstwie Tipperary, gdzie mord lorda Leitrim'a, w Kwietniu 1878 r., powszechną, nie tylko w Anglii, ale i w Europie, zwrócił na siebie uwagę. Pod naciskiem najwzniejszego zagadnienia, jakie stanąć mogło przed umysłami, zarówno patriotów irlandzkich, jak statystów angielskich, wytworzyła się wyżej już wspomniana Liga Rolna, i wstąpiła w miejsce „Home rule League“ jako kierowniczka sprawy narodowej; ale, dążności jej w siebie przyjąwszy, nie zniweczyła jej bytu, i dziś oba stowarzyszenia obok siebie istnieją, tylko już drugie, wyparte z przedniej straży narodu, nie ma dawnego znaczenia i przodowanie w agitacji pierwszemu oddać musiało. *Land-League* w drugiej połowie r. 1879 jako cel ostateczny swych dążeń postawiła: uwłaszczenie dzisiejszych dzierżawców i uwolnienie ich od czynszów, dopóki w właścicielami nie zostali; wszelkie reformy w dzisiejszym porządku, niewywracające go z gruntu, Liga uważa za półśrodki; a żadnej nie uzna, jeśli w niej nie będzie trzech *F* to jest: *fixity of tenure* (stałości posiadania) *free sale* (swobodnej odprzedaży) i *fair rent* (słusznej renty). Hasłem ligi jest: „*Down with landlordism!*“ (Precz z landlordyzmem t. j. z właścicielami gruntów). Hasło to prowadzi za sobą postać jako normalny środek działania, nie tylko względem zniecierliwionych Anglików, ale i względem swoich, których dobro ma się na pieczy. W Connaught'cie zwłaszcza, żaden dzierżawca nie osmieli się płacić czynszu, tak, iż ucziwsi proszą umyślnie właścicieli o przymus sądowy, aby mogli obowiązki swe spełniać. Biada tym, którychby zmowę odkryto: pałą ich i rabują. Jaką potężną organizacją wytworzyła Liga Rolna, jak głęboko sięgnęła w lud i zawładnęła nim, jaką stała się potęgą, nieprzebierającą w środkach: o tem wyżej już napomknęto. Ciągłe jej wicherzenia, ciągłe następowanie Anglikom na pięty, wypełnia dzieje dwóch lat ostatnich, a świadczy o wielkiej energii, ale zarazem i o nieopatrzności przewodzców, którzy nie widzą, że, podburzając lud przeciwko właścicielom, psują go, a niewiecząc w nim ideę sprawiedliwości i poszanowania cudzego dobra, czynią go niezdolnym do tego, co ostateczne, poza stosunki agrarne sięgający, cel całego ruchu stanowi: do samorządu irlandzkiego. Nietylko w interesie Anglii, ale i w interesie samej Irlandyi pragnąć należy jak najrychlejszego uspokojenia się umysłów i ustania dzisiejszej działalności ligi, która wzmacnia, coprawda, solidarność narodową i uczucie patriotyzmu, ale jedyne usprawiedliwienie wobec Historii znajdzie kiedyś w tem tylko, że stara się

wywrzeć nacisk na Anglię, aby z niej nareszcie coś stanowczego, polepszającego oplakane dziś stosunki, wycisnąć.

Pod tym naciskiem już w roku zeszłym, gdy Gladstone doszedł nanowo do władzy, po niefortunnym w Kwietniu 1880 r. odwołaniu się Dizraeliego do narodu, rząd angielski przedstawił parlamentowi na początku Lipca projekt tymczasowego billu, który obowiązywać miał tylko w prowincjach Connaught, Munster i części Leinsteru, a czynił zadość jednemu z punktów postawionych przez Ligę: mianowicie pozwalał dzierżawcom nie płacić czynszów aż do 1 Stycznia 1882 r., t. j. do czasu swego obowiązywania. Ten projekt Gladstonowski rozpościerał prawo do wynagrodzenia za turbację, przyznane przez *Landlord-and Tenant-Act*, z r. 1870, wszystkim mniejszym dzierżawcom, niżej 15 f. st. dzierżawy rocznej, na wszystkie dzierżawy większe aż do 30 f. st., a nadto usuwał, dodane przez Izbę Lordów w r. 1870 ograniczenie, które odmawiało wynagrodzenia dzierżawcom zalegającym w opłacie. Przez to drugie rozporządzenie właśnie rząd czynił zadość żądaniu ligi. Wobec zakazów stowarzyszenia patriotycznego, mając zachętę w prawie obowiązującym, któżby chciał czynsze płacić? Projekt w ostatecznym zastosowaniu swojem musiałby się okazać sprzymierzeńcem społeczno-narodowego wicherzenia, które miał właśnie usmierzyć. Dziwić się nie można Izbie Lordów, że go w dniu 3 Sierpnia r. z. odrzuciła; dziwną raczej wydawać się powinna przewaga sześćdziesięciu kilku głosów, dzięki której przeszedł przez Izbę Gmin. Tyleż prawie po nowych wyborach liczyło stronnictwo Homerulerów w parlamencie londyńskim (63).

Gabinet Gladstone'a, którego zasługi względem Irlandyi nie znikną nigdy z historii państwa angielskiego, w odrzuceniu billu znalazł to, czego widzieć nie była rada pewno ani przyjmująca, Izba Gmin, ani odrzucająca, Izba Lordów: znalazł wskazówkę, że potrzeba głębiej sięgnąć, i coś trwalszego stworzyć, aniżeli odrzucony *bill o wynagrodzeniu za turbację*. Stało się to niewątpliwie pod wpływem przekonań, wyznawanych przez radykalnych członków gabinetu: Dilke'a, Chamberlain'a i Bright'a; ostatni szczególnie, którego ustosunkowanie się umysłowe do Irlandyi i jej potrzeb mieliśmy sposobność wyżej zarysować, najwięcej zrobił dla samego pomysłu i należytego opracowania nowego billu, urządzającego stosunki rolne na Zielonej Wyspie. Bill ten, w mowie tronowej na otwarciu parlamentu w roku bieżącym zapowiedziany, złożył Gladstone d. 7 Kwietnia r. b. na stole prezydyalnym Izby Niższej przy świetnej obronie, która nawet w obozie przeciwnym oddźwięk uznania znalazła. Nowe prawo, mające zastąpić *Landlord-and Tenant-Act*, jest pracą ogromną, a o stopniu jego dojrzałości świadczą może ta jedna okoliczność, że je dwadzieścia razy przerabiano. Zdaniem powszechnem ludzi znających się na rzeczy, nowy projekt, choć nie uwłaszcza ludu wiejskiego, jak chciał Mill w r. 1852, jak zalecał Bright w sławnym liście swoim z Rochdale z Grudnia 1864 r., czyni jednak tyle, ile do uprządkowania stosunków i uspokojenia umysłów przy dobrej woli ludzkiej wystarczyć może. Jako przejście do własności wprowadza bill rodzaj wieczystej dzierżawy przerywanej peryodycznie, ale mającej w sobie łatwe do pozyskania warunki trwałości. Tego właśnie chciał dla Irlandyi wielki myśliciel polityczny Burke, aby kiedyś posiadłość jej wiejska emfiteutyczną się stała. Jego życzenie zaczyna się teraz spełniać; przyjdzie czas i na ideały Mill'a i Bright'a.

Irlandya posiada obecnie do 24,000 właścicieli i przeszło 500,000 dzierżawców. Obszerność własności wynosi 20,000,000 akrów (około 13 mil. morgów); obszerność gruntów dzierżawionych, użytkowych jest o 2/3 mniejszą. Wielka własność nad małą straszliwie przeważa. Według wykazów złożonych parlamentowi w r. 1870, właścicieli posiadających do 1000 akrów (600 morgów) było 15,527, a ogólna przestrzeń ich własności wynosiła tylko 3,869,873 akry, z czego na własność najmniejszą, *maximum* po 25 akrów, przypadało tylko 29,056. Przestrzeń ta rozdzielała się pomiędzy 2,377 właścicieli; na jednego zatem przypadało 12,2 akrów (8 morgów). Przeciętną

liczbą dla owych 15,527 nie więcej nad 1000 akrów posiadających jest 249 akrów (166 morgów). Właścicieli większych posiadających od 1000 — 5000 akrów (około 3300 morgów) w r. 1870 było 3019 na 6,347,367 akrów; przeciętnie na jednego przypadało 2,102 akry (1400 morgów). Całkowita przestrzeń będąca w posiadaniu dwóch powyższych klas właścicieli wynosiła 10,217,240 akrów; resztą obszaru, dochodzącą do 10 milionów akrów, władali wielcy właściciele magnaci, żyjący powiększej części poza krajem, i wyřęczający się rządcami i plenipotentami. Tych wszystkich było tylko 742 na trzech stopniach zamożności:

5,000—10,000 akrów	440	właścicieli	posiadało	3,071,471	akrów
10,000—20,000 „	192	„	„	2,607,719	„
ponad 20,000 „	110	„	„	4,151,142	„
	742	„	„	9,830,332	„

Liczbę przeciętną dla I stopnia daje 6,980 akrów
 „ „ „ II „ „ 13,580 „
 „ „ „ III „ „ 37,737 „
 „ „ „ całej klasy „ 13,248 „
 [8,800 morgów]

Liczyby te, od r. 1870 zmieniły się tylko w klasie pierwszej: najdrobniejszych właścicieli. W klasie najwyższej najwięcej jest dzierżawców; najsilniejszy też opór przeciwko uprządkowaniu stosunków dzierżawnych z tej klasy wychodzi. Zwyczaj ustalony sprawia, że dzierżawa od roku na rok jest przedłużaną, za półrocznem wypowiedzeniem, i jako dowolna, słusznie się nazywa *at will*. Granicami oznaczającymi różne stopnie zamożności dzierżawców są liczby płaconego przez nich czynszu (*rent*): 4, 15 i 30 f. st.; poza tą ostatnią granicą ustaje pojęcie dzierżawcy niezamożnego, nad którym prawo opieki koniecznie przysięgać musi. Opieki tej niższy dzierżawca — jest ich wszystkich do 300,000 — potrzebuje głównie ze względu na niestałość swej dzierżawy. Dawne prawo stałości w zbyt ogólnikowem zamykało wyrażeniu i w zbyt ciasnych przyznawało granicach, gdy orzekało, że dzierżawca płaćący najwyżej 15 f. st. a niezalegający w opłacie, nie może być wrzuszonym. Nowe prawo, nieubliżając umowom piśmiennym, stanowi, że każda dzierżawa będzie ważną na lat 15, przy jednakowej, nieulegającej podwyższeniu, wysokości czynszu; po latach 15 będzie miał dzierżawca możność: albo prawo swoje do dzierżawy sprzedać, albo wziąć wynagrodzenie za turbację, albo udać się do sądu o wyznaczenie słusznego czynszu (*fair rent*) i nadal pozostać. Odprzedający swą posiadłość ma prawo do indemnizacji niezależnej od wynagrodzenia za melioracje (*improvements*). Wynagrodzenie za turbację dla różnych klas dzierżawców różną ma wysokość i stosunkowo najwyższem jest w klasie najniższej (siedm razy wzięty czynsz). Sprzedaż praw dzierżawnych wymaga tylko zawiadomienia właściciela, ale zezwolenia nie czyni we wszystkich przypadkach niezbędnem. Rząd otwiera bardzo hojny kredyt dla drobnych dzierżawców pragnących się stać właścicielami i ułatwia wychodźstwo do Ameryki i Australii.

Widać z powyższego, że nowe prawo nie nadaje jeszcze tak doskonałej stałości (*fixity of tenure*), jaka leży w wieczystej dzierżawie, ale łagodnie do niej stosunki rolne w Irlandyi przeprowadzić pragnie. Wolna odprzedaż (*free sale*) jest nadaniem prawa do ziemi, leżącym w pojęciu wieczystej dzierżawy i samo wynagrodzenie za turbację tylko z uznania tego prawa wypływać może. Jeżeli zbierzemy wszystkie rozporządzenia billu znajdującego się obecnie pod obradami w Izbie Niższej, nie będziemy mogli zamknąć oczu na tę prawdę, iż nowe prawo jest rzeczywistym dla Irlandyi dobrodziejstwem: niezawodnie uspokoi ją i do pomyślnego jej rozwoju się przyczyni. Liga Rolna ma w nowem prawie swoje trzy *F*, wprowadzić nie w takiej bezwzględności w jakiejby je widzieć pragnęła, ale ma; i, jeżeli jej idzie istotnie o dobro narodu, to zyskawszy już tyle na rządzie angielskim przez swój opór, powinna teraz właśnie oporu zaprzestać. Do rzeczy wielkich dochodzi się tylko stopniowo.

9. Ostatecznym celem dążeń społeczno-narodowych Irlandyi musi być uwłaszczenie ludu wiejskiego i zyskanie samorządu dla całego narodu.

Niech się Anglia nie ludzi: wyższość jej cywilizacji nie uwalnia jej od spełnienia obowiązku, którym jest przywrócenie praw wydartych; cywilizacja właśnie tem jest wyższą, im się wyżej w poczuciu nieprzedawnionych nigdy praw i nieprzekupionej niezem sprawiedliwości wzbija. Cały systemat dzierżaw, od XIII w. — powiedzmy prawdę, najpierw przez duchowieństwo angielskie, katolickie zaszczerpiany — runąć musi, aby społeczeństwo dzisiejsze uspokoić się mogło. Nic nie pomoże powoływanie się na Anglię, gdzie systemat dzierżaw nie ruinuje pomyślności ekonomicznej kraju: inne byłyby skutki, gdyby Albion nie posiadał wysoko rozwiniętego przemysłu. Zresztą dzierżawy angielskie są długoletnie, a stosunek Anglika do Anglika inaczej się kształtuje niż stosunek nienawidzącego krajowca do znieprawionego cudzoziemca i innowiercy w Hibernii. Irlandya nie znalazła nigdy dzierżaw, choć nie miała także nigdy i czystej własności. Dziś, gdy wskrzeszenie instytucji, która ograniczała niegdyś własność — *Tanistry*, prawo klanu do posiadłości indywidualnej — jest niemożliwym, ustalenie czystej własności, pobudzającej energią indywidualną, uzupełniającej osobistość ludzką, niosącej w sobie istotną stałość i jakgdyby wiekiistość — przedstawia się jako jedyna nieomylna droga ku lepszemu. Uwłaszczenie ludu w zamian za indemnizacją, która jaknajniżej oznaczoną być powinna, ze względu na nieczyste źródło praw dzisiejszych właścicieli, nie grozi bynajmniej przewrotem ekonomicznym, i w kraju tak bogatym jak Anglia da się z mniejszymi daleko trudnościami wykonać, niż n. p. w Rosyi, gdzie kilkanaście lat wystarczyło na utrwalenie nowego porządku rzeczy. Uwłaszczenie będzie aktem sprawiedliwości względem narodu, któremu w dawniejszych jego pokoleniach wydarto ziemię, a za tę samą ziemię w pokoleniach dzisiejszych płacić mu każą. Ohydna pamięć rozbojów i niekzemności, jakich się dopuszczali Elżbieta, Jakób I, Cromwell, Wilhelm III, tylko przez uwłaszczenie zmasaną być może — zmasaną będzie, jeśli nie przymus, ale własna wola Anglii wywoła tę *in integrum restitutio*, o którą wołał Mill, którą Liga Rolna na swym wypisała sztandarze.

Uwłaszczenie jeszcze nie załatwi dziejowego obrachunku między Irlandyą i Anglią. Irlandczycy byli niegdyś wolnymi i wolnymi być muszą; sama natura staje w ich obronie; powszechne, robakom nawet służące prawo do życia własną swą indywidualnością, woła na Anglię wielkim głosem, aby się dłużej nadaniu samorządu nie opierała. Przywrócenie parlamentu zniszonego w r. 1800 samo jedno tylko może wroga w przyjacielą zamienić. Gdy mówimy „przywrócenie“ nie mamy na myśli dawnej instytucji, wyłączającej Irlandczyków, ale samą czystą formę prawo-państwową, w którejby właśnie żywioł irlandzki społu z angielskim, arystokratycznym i przemysłowo-handlowym po większych miastach, znalazł naturalne ujście dla swej energii i godne zbiorowo żyjącego człowieka użytkowanie swych sił. Mogą sobie prawnicy korony mówić, co chcą: nadanie Irlandczykom własnego parlamentu nie grozi Anglii żadnem zewnętrznem ani wewnętrznem niebezpieczeństwem, nie wprowadzi bynajmniej zamętu w stosunki prawno-publiczne; przeciwnie: od chwili nadania dopiero zacznie się okres porządku i pokoju. Będą lata przejścia trudne, pracowite, mozolne; ale przy dobrej woli i prawdziwym rozumie politycznym machina zależności jednego kraju od drugiego uprządkowi się i dobrze działać będzie. Stosunek Węgier do Przedlitawii niechaj tu za wzór posłuży. O niepodległości Irlandyi, o własnem wojsku mowy być nie może: nie będzie też i marzeń w umysłach irlandzkich, jeśli się systemat autonomiczny, przy pomocy kapitałów angielskich, przy współdziałaniu oświaty, przy wszechstronnej zachęce do pracy, rozwinię i gnębną dotychczas powszechność porządkiem, bytem rozumnym, szczęściem darzyć zacznie. Irlandczycy doskonale wiedzą, że o własnej sile w cizbie narodów świata ostać-by się nie mogli, a samo położenie geograficzne, wspólność cywilizacji, która osobny język nawet pochłonięła, zmusza ich do trzymania się Anglii. Stronnictwa gwałtowne znikają, gdy narody znajdują

zaspokojenie istotnych swych potrzeb: nic tak nie dławii rewolucji jak rzetelna wolność. Otwarcie parlamentu irlandzkiego w Dublinie będzie wyrokiem śmierci dla fenianizmu. Oby takie pojęcia, prowadzące do istotnego uspokojenia Irlandyi, jak najprędzej w umysłach polityków angielskich ustalić się mogły!

Przypisy do Epoki V.

Nr. 25, str. 199 lam drugi wiersz 8 i 10 od góry. Mitchell wydawał dziennik: *United Irishman*.

Tamże, wiersz 4 od dołu. Ludność Irlandyi ciągle się zmniejsza. Według wykazów złożonych parlamentowi na początku Lipca r. b. spis tegoroczny przekonał, że kraj ten ma tylko 5,159,839 m. W r. 1871 było 5,412,377.

Nr. 26, str. 207, lam I, wiersz 13 od dołu. Jednocześnie ze zjawieniem się fenianizmu istniał związek rewolucyjny *Fenian*.

Nr. 28, str. 223 lam I, wiersz 4 od dołu. *Landlord and Tenant Act* z r. 1870 nadawał prawo do wynagrodzenia za turbację tylko mniejszym, do 15 f. st. płacącym, dzierżawcom. Zwyczaj prowincyi Ulsterskiej, uprzywilejowanej ze względu na wyznaczenie i narodowość dzierżawców, mieści w sobie stałość posiadania, t. j. nierugowalność czynszownika wypłacającego się punktualnie.

Tamże, lam III, wiersz 14 od góry: „*Fawcett*“ a nie „*Fawcet*“.

Tamże, str. 224, lam I, wiersz 12 od góry. Pierwsze obrady nad billem o zamykaniu szynków odbyły się jeszcze w r. 1876. Dnia 12 Maja tego roku Izba Niższa wydała w pierwszym głosowaniu uchwałę, która następnie jednak uprawomocnić się nie mogła.

Korrespondencya zagraniczna.

Magnetyzer Donato. — Fundacya emerytalna dla nauczycieli szkół ludowych imienia Mickiewicza. — *Biała gołębka*. — Teatr lutnie. — Kości w podziemiach „Spalonej akademii“. — † Malarz Sidorowicz i Kalixt Orłowski. — Zakład chłopców osierociałych pod wezwaniem św. Antoniego. — Festyn ludowy na dochód „Pracy kobiet“. — Karol Wild. — Spółzawodnictwo wydawnicze księgarni lwowskich. — Wydawnictwa księgarni Gubrynowicza i Schmidta. — Kompletnie wydanie pism Mieczysława Romanowskiego. — Biblioteka „*Mrówki*“. — *Pan Tadeusz* z ilustracyami Andriollego. — *Poezje* Bolesława Czerwińskiego. — Medal przyznany przez Akademię hiszpańską Platonowi Kosteckiemu. — Wystawa Sztuk Pięknych.

Lwów, w Czerwcu 1881 r.

(Dalszy ciąg).

Spółceństwo nasze poniosło znów stratę dwóch ludzi, z których każdy na swoim polu pracował pożytecznie. Jeden obdarzony talentem artystycznym, zapowiadał wybitną kartę w dziejach naszego malarstwa, drugi pozostawił po sobie pamięć filantropa, rzadkich cnót i dobroci, pojmującego zadanie życia w niesieniu ulgi cierpiącym. Mówię o malarzu Sidorowiczu, który zgasł młodo w wstępie dobrze rozpoczętego zawodu, i o Kalixcie Orłowskim.

Sidorowicz to dziecię Lwowa, syn tutejszego mieszczanina; kosztem gminy tutejszej kształcił się na malarza i dłużej czas przebywał zagranicą. We Włoszech, studiując antyki, nabrał szlachetnego stylu. Był prawdziwym poetą w sztuce. Obrazy jego miały wdzięk szczególniejszy, koloryt posiadał swój ton oryginalny, w układzie kompozycji panowała prostota. Oprócz portretów, odznaczających się zawsze ową szlachetnością stylu, o której wspominałem wyżej, zwłaszcza portretów kobiecych, pozostawił Sidorowicz wiele przeslicznych mniejszego rozmiaru obrazów, świadczących, że był równie dobrym pejzażystą, jak portrecistą. Z ostatniej wystawy lwowskiej pamiętamy przesliczny obrazek, nawpół rodzajowy: *Przyjazd do kąpielii rzecznej*, przedstawiający sielską idyllę, z niezrównanym wdziękiem zdjętą z naturą. Szkoda młodzieńca, który tak szczerze miłował sztukę, tak gorliwie pracował, i tak

już wysoko stanął, a zgasł właśnie w chwili, kiedy talent jego, przezycięwszy pierwiastkowe przeszkody, wszedł już na drogę pełnego rozkwitu.

Ś. p. Kalixt Orłowski był postacią typową w swoim rodzaju; doskonale znali go Lwowianie. Mąż powszechnie szanowany, przejęty uczuciami filantropijnymi, oddał się cały na usługi dobroczynności. Nabożny, prawie aż do fanatyzmu, oszczędny, z ustawiczną myślą o uczynkach miłosiernych, żył w odosobnieniu, otoczony tylko małym kółkiem znajomych, należących do Towarzystwa Św. Wincentego a Paulo, którego sam był jednym z najgorliwszych członków. Zamłodu przesiedział w ciężkim więzieniu pięć lat, wraz ze Smolką, dzisiejszym prezydentem Przedlitawskiej Rady Państwa i z dzisiejszym ministrem Ziemiańkowskim. Po ogłoszeniu amnestyi, wyszedłszy z więzienia, usunął się zupełnie z pola działań politycznych, a oddał wyłącznie filantropii. Długo przemysłował nad sposobem: w jakiby mógł najpożyteczniej zasłużyć się społeczeństwu. Przypadek rozstrzygnął pytanie i skłonił go stanowczo do powzięcia zamiaru, który wkrótce w życiu urzeczywistnił. Przechodząc pewnego razu w mroźny dzień w zimie, wśród zamieci dalekiem przedmieściem, ujrzał tam Orłowski małego chłopca nawpół nagiego, nawpółskostniałego z zimna, żebrzącego przy drodze. Była to dla niego jakby wskazówka Opatrzności, widomy palec Boży. Zabrał skostniałego sierotę do swego domu, a gdy go ogrzał i nakarmił, postanowił utworzyć zakład opiekuńczy dla osierociałych chłopców, w którymby mogli znaleźć przytułek i naukę — ucieczkę od nędzy fizycznej i moralnej. Wnet z prywatnych funduszy wspaniałomyślnego filantropa stanął wygodny budynek, przeznaczony na Ochronę, w zdrowym miejscu, na świeżem przedmiejskiem powietrzu, w parafii Św. Antoniego, od czego też nadano mu nazwę *Zakładu chłopców osierociałych pod wezwaniem św. Antoniego*. Zakład mieści kilkunastu chłopców, którzy w nim pozostają przez cztery lata, to jest do ukończenia szkoły ludowej, poczem idą do pracowni rękodzielniczych według tego, jak który do jakiego rzemiosła zdolności okazuje. Przez dwadzieścia lat swego istnienia Zakład wychował już tym sposobem kilkuset chłopców na porządných i uczciwych rzemieślników, błogosławiących swego dobroczyncę, a wielu z nich dobiło się już dzisiaj zamożności i własne posiada pracownie. Ś. p. Orłowski, dopóki mu zdrowie sprzyjało, żył tylko dla Zakładu, mieszkał w nim i osobiście zajmował się nadzorem i kierownictwem wychowania znajdujących się w nim chłopców. Oprócz tego oddany był jedynie zajęciom filantropijnym Towarzystwa Św. Wincentego a Paulo, wyszukiwaniem ubogich i niesieniem im pomocy z ramienia Towarzystwa. Temu wyłącznie całe oddawał życie, wszystkie myśli poświęcał. Zaiste, piękny wzór chrześcijanina!...

Wstąpiliśmy w porę zabaw ogrodowych, tych tak zwanych u nas *festynów ludowych*, urządzanych tradycyjnym od lat kilkunastu zwyczajem na dochód rozmaitych stowarzyszeń, chcących tym sposobem przysporzyć sobie dochodu. Festyny ludowe, połączone zazwyczaj z loteryą fantową, odznaczają się przede wszystkim głównie tem, iż niema na nich *ludu*, mianowicie z tej warstwy społecznej, którą zazwyczaj w rozumieniu powszednim *ludem* nazywamy. Nie znalazłby na naszych festynach ludowych i sam Diogenes ani jednej postaci, chociażby tylko dla uchwycenia typu, odróżniającego lud czy-to wiejski czy miejski od zwykłej publiczności ogrodowej, otaczającej stoliki loteryjne i przysłuchującej się przez parę godzin muzyce kapeli wojskowych. Ostateczny wynik tych zabaw sprowadza się do paru godzin

spędzonych na przechadzce po ogrodzie i mniej więcej około tysiąca guldenów, zazwyczaj ubieranych z festynu, jeżeli się dobrze powiodł, to jest jeżeli posłużyła pogoda, i jeżeli zwłaszcza zajmujące się urządzeniem tegoż grono osób należało do *high life* miejscowego, a zatem *de rigueur* całe *towarzystwo* na niem być musiało. Więcej niczego się tam nikt nie spodziewa i nie szuka — ani ci, co urządzają zabawę, ani ci, co się bawić przychodzą. Miarą dobrej zabawy jest pełnia kassy festynowej przy ostatecznym obrachunku, świadcząca o mniej więcej dobrym humorze tych, co się bawili, a rozstrzygająca już stanowczo o humorze tych, co zabawę urządzali; nie wchodzi tu bowiem w grę sama już tylko kwestya dochodu, ale powodzenie jest zarazem rzeczą ambicyi tych, co festyn urządzają, ponieważ świadczy o wziętości i wpływie osób, mianowicie pań, zajmujących się urządzeniem; a wiadomo jak-to miło okazać, że się ma wpływy i wziętość w sferach „hajlafju“.

Z festynów urządzonych w roku bieżącym najbardziej pożądanym był przeznaczony na dochód Stowarzyszenia *Pracy kobiet*. Stowarzyszenie to, niezawodnie jedno z najpożyteczniejszych, nie może się jakoś należycie rozwinąć i urosć tak, aby o własnej stałości sile. Wszyscy unoszą się nad doniosłością i pożytkiem jego zadania, chwalą pracę i uczciwość celów; ale gdy potrzeba przysporzyć zamówień na robotę, bo o to jedynie chodzi, zwracają się gdzieindziej do magazynów, gdzie robota, albo gorsza, albo przynajmniej wcale nie lepsza a droższa. Ale cóż począć? Tak każe moda — przyzwyczajenie... a takim wyroczniom trudno się sprzeciwić ostatecznie. Zdaje się jakby nawet sam los w porozumieniu z niepokodą uwziął się na poczciwą naszą „*Pracę kobiet*“. Słota przerwała festyn w połowie; musiano go odłożyć na inny dzień, który wprawdzie był już pogodniejszym, ale zawsze sprawiło to zawód w dochodzie.

A przecież, jeżeli które, to przed wszystkiemi innemi *Stowarzyszenie Pracy kobiet* zasługiwałoby na uśmiech losu i poparcie powszechne. Ma ono bowiem ważne zadanie społeczne, które spełnia o wiele skuteczniej, niżeli inne towarzystwa czysto filantropijne, na miłosierdziu oparte. Stowarzyszenie *Pracy Kobiet* nie ucieka się do miłosierdzia, żąda, nie jałmużny, ale tylko pracy, tylko uczciwego zarobku, szercząc za to światło nauki i moralności w sferach najbardziej zaniedbanych i ubogich świata żeńskiego. Posiada ono swe szkoły i pracownie, w których praktyczną naukę pobierają uczęszczające tam dziewczęta w rozmaitych robotach kobiecych do zdolności i sił kobiety zastosowanych. Posiada kasę zaliczkową, własny fundusz zapomogowy, biuro wywiadowcze, zajmujące się umieszczaniem sług: słowem, służnie o niem powiedziano, iż posiada wszystko, co tylko godne jest najwyższego poparcia — oprócz samego poparcia. Prawdę tę wykazują, aż nadto wydatnie niestety! liczby tegorocznego sprawozdania. Bilans Stowarzyszenia stwierdza niedobór w każdym dziale Zakładu. Szwalnia n. p. miała w roku ubiegłym dochodu około 1400 guldenów — rozchód wynosił przeszło 1600; podobny mniej więcej zachodzi stosunek w dochodach i wydatkach innych działów.

(Dokotecz nie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tyt.: *Bóza wśród cierni*.

Ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Pierścień Polikratesa (poezya), przez M. I. — Stowarzyszenie opieki nad sługami, (dokończenie), przez Maryą Hluciką. — Miłość czy Rachuba? (powieść), przez El-em. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — **Korrespondencya zagraniczna**, Wiedeń. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dokończenie). — **Korrespondencya zagraniczna**, Lwów, (dalszy ciąg).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Юля 1881 года.

RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Dzień dobry mylady — rzekł Adryan, patrząc życzliwie na Florynę. Rad jestem że widzę panią w ogrodzie. Bardzo wiele kobiet traci najpiękniejsze godziny dnia, późno wstając. Lepiej pani dziś wyglądasz.

Łzy ciągle drżały na jej powiekach.

— Dla czego nie nazywasz mnie pan Floryną? szepnęła — jestem żoną Ruperta.

— Nie wiedziałem, że sobie tego życzysz mylady. Jeżeli pozwolisz, bardzo mi to przyjemnym będzie, będę mówił do ciebie jak do siostry: Floryno...

— Wymawiasz moje imię zupełnie jak Rupert, — rzekła. Nie słyszałam dwóch głosów podobniejszych do siebie. Słyszałam jak wołałaś Eleonorę któregoś dnia i serce mi bić przestało. W pierwszej chwili byłabym przysięgła, że to on.

— Czy mówił ci kiedy o Eleonorze? — spytał Adryan, dla którego namiętna miłość Ruperta była zawsze rodzajem wyrzutu sumienia.

— Nie — odrzekła Floryna. — Mówił dużo o Anglii, o Clydesdale, o młodych latach, które spędziście razem, ale nigdy o Eleonorze. Dla czego się o to pytasz Adryanie? Czy ją znał dobrze?

— Mieszkała w naszym sąsiedztwie, na probostwie, — rzekł udając obojętność — dwa domy stanowiły jeden.

— Może się w niej Rupert kochał kiedy? — zapytała, patrząc podejrzliwie na Adryana.

— Żałował że ją zapytał o Eleonorę i widział, że musi odwrócić myśl, która mogła niedobrze plądrować po tej głowie.

— Droga Floryno, każdy kocha Eleonorę. Jest ona jedną z tych kobiet, które podbijają wszystkie serca.

— Czy ją znajdujesz tak piękną Adryanie? — spytała sucho Floryna.

— Tak, uważam ją za najpiękniejszą, najdoskonalszą z kobiet, — rzekł z głębokim wzruszeniem.

Floryna uczuła budzącą się zazdrość, pochwała innej kobiety nigdy przyjemną jej nie była.

— Jestem pewną, — rzekła żalonym głosem, że to musi być bardzo miło mieć męża, który ma o nas takie zdanie. Eleonora powinna być bardzo szczęśliwa.

Adryana rozśmieszył głos i mina Floryny.

— Wszak Rupert zapewne też myślał tak o tobie, Floryno?

— Nie wiem co o mnie myślał; mało ze mną rozmawiał. Ale patrz, idzie Eleonora. — Spojrzała zalotnie na Adryana. — Czy nie będzie zazdrosną, że tu jesteśmy razem?

Floryna powiedziała sobie, że byłoby to wcale zabawną rzeczą, gdyby mogła obudzić trochę zazdrości; zabiłoby to czas i przerwało jednostajność życia. Ale jej małoduszne myśli i życzenia umilkły przed oburzonym wzrokiem Adryana.

— Przepraszam, Floryno — rzekł. — Nie dobrze cię dosłyszałem, coś mówiła. Ona roześmiała się z przymusem.

— Pytałam się tylko, czy twoja doskonała i pię-

kna Eleonora nie będzie zazdrosną, gdy cię tu ze mną zobaczy.

Spojrzał na nią z litością.

— Żartujesz ze mnie Floryno, — rzekł teraz poważnie. Czy widzisz niebo nad nami? — zapytał.

— Widzę — odrzekła, spojrzawszy za nim w górę.

— Tak, jak ono daleko jest od ziemi, tak moja Eleonora daleką jest od wszystkich małości i niskich uczuć. Widzisz, jak niebo jest spokojne i pogodne? Równie spokojną i pogodną jest jej dusza.

— Jak to miło, kiedy mąż ma o nas takie wyobrażenie, — rzekła sucho Floryna. — Rupert nie posiadał w swej miłości do mnie tego przymiotu uznawania mnie za doskonałość. Ale ciekawa jestem Adryanie, czybyś też o mnie myślał tak samo, gdybym była twoją żoną? — zapytała z uśmiechem mimowolnie zalotnym. Nie umiała być inną z mężczyznami.

Adryan nie odpowiedział. Ten rodzaj kobiety był dla niego zupełną nowością. Ale pomyślał, że dołoży starań, aby podnieść jej umysł. Nie przyszło mu na myśl, że ten umysł był już wykształcony na swój sposób i trudno było go przerobić.

Zwrócił się do niej z poczciwym wejrzeniem i serce jego zmiękło, nie dla tego, aby mu się co w niej podobało, ale nie zapomniał jeszcze łzy, która przed chwilą błyszczała w oczach tej kobiety.

— Eleonora poszła na folwark, — rzekł, — bardzo lubi gospodarstwo. Jeżeli nie masz zajęcia, Floryno, czy możesz mi poświęcić godzinę?

— Z wielką przyjemnością — odrzekła z najskłodszym uśmiechem, a Adryan podał jej rękę.

— Bardzo rad jestem, że mi się nadarza sposobność pomówienia z tobą, mam ci dużo do powiedzenia. A najprzód muszę cię prosić, abys nas kochała i miała ufność do nas. Chcę abys uważała Eleonorę...

— Najpiękniejszą i najdoskonalszą z kobiet przerwała Floryna.

— Tak, abys najpiękniejszą i najdoskonalszą moją Eleonorę, uważała jak siostrę, a mnie jak brata — powtórzył Adryan z naciskiem. — Kochaliśmy się z Rupertem, jak rodzeństwo.

— Bardzo tego pragnę, abys mnie kochał — rzekła Floryna dość sucho.

— Moja droga, mówmy serjo — wyrzekł zrażony jej lekkim tonem. — Mówię do ciebie z głębi serca, posłuchaj mnie uważnie, Floryno.

— Uważam jak tylko mogę — odparła i mówiła prawdę. Niemożliwą dla niej rzeczą było zastanawiać się poważnie. Naturą jej była lekomyślność.

— Spójrzj w około, Floryno, — rzekł. — Wszystkie dary nieba zdają się tu być nagromadzone, czy podzielasz moje zdanie?

— I owszem — odparła krótko. Nie chciała okazywać uwielbienia, aby nie pokazać, że nigdy nie widziała tak bogatej siedziby pańskiej.

— Urodzajne pola, bystra rzeka, piękne lasy, malownicze pagórki, bogate łąki, wszystko rozciąga się przed oczyma.

Floryna skinęła głową na znak, że potwierdza słowa słyszane.

— Czy więc pozwolisz, Floryno — mówił dalej Adryan — abym ci zadał jedno pytanie?... W jakim celu niebo daje czasem tyle swych darów jednej osobie?

— Teraz Floryna uśmiechnęła się wesoło. — I niebo ma swych faworytów — rzekła. Obdarza ich, aby użyli życia i przyjemności posiadania. Majątek to wielka rzecz...

— Tak, Floryno! Wielki majątek, to wielka rzecz — wielka potęga.

— Nie zawodnie — potwierdziła Floryna — myślała ile to strojów można rocznie kupić, ile dać balów, będąc lady Clyde.

— Czy myślisz, że taki majątek ma służyć dla nas samych jedynie?

— Skoro jest nasz... — odrzekła, nie rozumiała do czego Adryan zmierza.

— Nie Floryno. Wierzaj mi, bogaci muszą być zarazem i szafarzami darów nieba. Mężczyzna który trwoni majątek na przyjemności, kobieta która go używa dla zadowolenia próżności jedynie, są winni w obec społeczeństwa kraju swego — kradzieży.

— Jako — rzekła Floryna. W głosie jej była opozycya.

— Przyznasz mi słuszność skoro się zastanowisz. Majątek jest nam dany nie na to abyśmy kufry napełniali złotem, albo trwonili go w sposób lichy. Majątek to obowiązek.

— Tym sposobem każdy bogacz, stałby się wkrótce ubogim — odparła Floryna. Tyle jest biednych, że gdyby chciał się dzielić ze wszystkimi...

— Nie, nie mówię tu o szalonej, nieopatrznej rozrzutności, ale o mądrym, roztropnym poczuciu się do braterstwa w ludzkości, które jest może najużyteczniejszą cnotą na świecie. A teraz, Floryno, czy mogę ci serce otworzyć, czy mogę powiedzieć co myślę i czuję, co do twego stanowiska?

— Proszę — odrzekła, ale już nie tak chętnie, jak poprzednio, bo miała niewyraźne pojęcie, że w ten lub inny sposób Adryan zechce się mięszać do jej praw.

— Osmielasz mnie, Floryno — rzekł. — Jesteś bardzo młodą w obec odpowiedzialności, jaką los włożył na ciebie — młodą i niedoświadczoną. Będiesz miała zarząd wielkiego majątku, aż do pełnoletności syna. Będiesz posiadać wielką potęgę i wielkie wpływy; dokonasz wielkiego dzieła, jeżeli dobrze użyjesz tego, co Bóg ci dał.

— Z pewnością, że dobrze użyję — rzekła urażona.

— Czy myślisz, że nie potrafię?

— Broń Boże, droga Floryno, abym myślał coś podobnego! — zawołał Adryan. — Ale takie stanowisko, jak twoje wymaga wielkiej przezorności.

— O jestem dosyć przezorną — westchnęła Floryna. Rupert mówił, że jestem najprzezorniejszą kobietą, jaką znał kiedykolwiek.

Adryan przyzwyczajony tylko do bezwzględnej prawdy, pomyślał, że Rupert musiał mieć bujną wyobraźnię, aby myśleć, że Floryna posiada wspomnianą, a trudną cnotę.

— Ale naturalnie — mówiła żalonym głosem Floryna, nie mam doświadczenia. Kto jest młody, a zwłaszcza kobieta, nie może nabyć doświadczenia, nieprawdaż Adryanie?

— Zapewne, ale młodość może zawsze posługiwać się doświadczeniem drugich. Ty naprzykład, Floryno, możesz zużytkować moje, oddaję ci je na usługi, jeśli pozwolisz.

— Będę ci bardzo wdzięczną, — rzekła, ale pomyślała przytem, że nie pozwoli rządzić sobą pod pozorem, że jej brak na to doświadczenia.

— Honor, a nawet świetność rodu Clydów silnie mnie interesuje, Floryno. Póki majątek był w ręku Ruperta, byłem spokojny bo był on zdolniejszy odemnie do rządzenia nim. Ale teraz stan rzeczy się zmienia, bo dziedzic jest dzieckiem. Położenie jest podobne do wielkiego państwa, zostawionego małoletniemu królowi z matką regentką.

Lady Clyde spojrzała nań wdzięcznie, była bardzo uszczęśliwiona z porównania.

— Tak, tak, Adryanie — rzekła. — Doskonale to określiłeś. Jestem królową regentką na Clydesdale.

— Pozwól, Floryno, abym ci przedłożył rezultat mego doświadczenia. Musisz najprzód powziąć szerokie pojęcie o obowiązkach twego panowania, pamiętać, że nie możesz żyć tylko dla siebie, a w

szczególności, uważać na dobrobyt każdego z twoich podwładnych i na wychowanie syna. Ale czyś nie chora, Floryno, spytał widząc, że pochylała głowę.

— Nie, ale tak surowo mówisz do mnie, Adryanie.

— Nie surowo, ale poważnie, bo też życie jest poważną rzeczą; sama tego doświadczyś. Podług mnie nie ma wyższego, szlachetniejszego zajęcia dla kobiety, jak wychowanie syna, a jeszcze syna, który ma być wielkim panem. Powinnaś go zrobić wspaniałomyślnym, szlachetnym, nie samolubnym człowiekiem. Nauczyć go jak ma być dobrym, sprawiedliwym, i ludzkim, jak ma zachować bez skazy honor swego rodu, podnieść go i niczem nie splamić. Powinnaś go wychować na dobrego chrześcianina, aby używając dóbr danych mu z łaski Boga, miał oczy zwrócone ku górze. Ach, Floryno, masz wielką pracę przed sobą. — Osobiście masz także wiele do spełnienia. Honor wielkiego, starego rodu spoczywa obecnie w twoich rękach. Bądź dobrą, uprzejmą z godnością, a przepowiadam ci najpiękniejsze życie kobiety kochanej, szanowanej, wychowującej dziecię na męża godnego zająć jedno z ważniejszych stanowisk w kraju. Nie wspominam o powtórnym zamąż pójściu, bo nie wiem, czy kobieta mająca już serce wypełnione miłością macierzyńską potrzebuje iść za męża. Przynajmniej w kronikach naszego rodu nie ma wzmianki o powtórnym zamąż pójściu Lady Clyde. Tak więc twoje życie, Floryno, może być jak wielki, piękny poemat, jeżeli będziesz tego chciała.

Tak jakos uczuła się wzruszoną słowami wymownego mówcy, że na chwilę zapomniała próżności i samolubstwa swego; odrzekła też z prostotą.

— Będę się o to starała Adryanie.

— Mam nadzieję, żeś mnie dobrze zrozumiała, Floryno, — rzekł. — Nie chciałbym wcale widzieć cię smutną i pogrążoną w wiecznej żałobie. Kreślę ci tylko idealny obraz życia Lady Clyde. Nie wiesz, jakie wrażenie wywiera tu nazwisko Clydów! Panie z tego domu były zawsze opiekunkami biednych, i nie tylko nadawały ton okolicy.

— O! — przerwała wesoło Floryna, — to potrafię doskonale!

— Nie tylko dawały ton okolicy — powtórzył Adryan, niekontent z przerwy, — ale wskazywały innym, jak żyć trzeba. — Jeżeli by naprzykład chciała prowadzić życie lekkomyślnie wesołe, panie z sąsiedztwa, mogłyby łatwo pójść za jej przykładem. Jeżeli przeciwnie Lady Clyde będzie pobożna, szlachetna, dobroczynna, inne będą niewątpliwie naśladować ją, bo Clydesdale zawsze przodowało okolicy. Widzisz więc teraz, co masz za powagę, Floryno!

— Będę chciała jak najlepiej postępować, Adryanie, — rzekła ze szczerą dobroduszością. — Zaufaj mi proszę.

— A teraz chodź do domu, Floryno, chcę ci coś pokazać.

Przeszli razem przez wielką sien wchodową, gdzie zbroje i miecze, własność Clydów z dawnych czasów, wisiały na ścianach, a pod sklepieniem były umieszczone wojenne trofea, chorągwie i sztandary, zabrane w bitwach. Adryan podniósł swą piękną ogorzałą twarz do góry.

— Możesz czytać historią Clydów w tej sieni, — rzekł. — Możesz widzieć pod jakim królem walczyli, do jakich zwycięstw dopomagali, jakie waleczne, rycerskie czyny spełniali. Czuję się bardzo dumnym, Floryno, patrząc w okolo! Najlżejszy cień wstydu, lekkomyślności ani szaleństwa nie powinien paść na te ściany.

— Tak — odrzekła Floryna lekko zadrżawszy — tak zapewne...

— Jak życie dawnych Clydów było rycerskie, pełne odwagi, tak życie ich żon odznaczało się słodyczą, mądrością i dobrocią. A teraz jeszcze chcę ci coś pokazać. Widziałaś wszystki świetności Clydesdalu, bo Eleonora mówiła mi że zwiędłaś zachodnie skrzydło.

— Tak, oprowadzała mnie sama po niem wczoraj: — rzekła Floryna z sercem pełnym dumy, na

myśl że te wszystkie pyszne sale były w jej posiadaniu choć na czas jakiś.

— Zachodnie skrzydło zawiera to, co nazywamy królewskim apartamentem, — mówił dalej Adryan. Tam jest pokój gdzie spała Marja Stuart, kiedy przebywała przez tydzień w Clydesdale podczas jednej ze swoich podróży. Tam jest wielka sala uczt, gdzie królowa Elżbieta kiedyś wydawała jedną z swych wesołych biesiad i jak niesie podanie, raczyła kokietować jednego z moich przodków, sir Rolanda Clyde, któremu się może śniło, że zasiądzie na tronie. Karol drugi przybył tu po Restauracyi. Zamek jest pełen takich podań, jak się tego dowiesz, przeczytawszy jego historję. Ta zaś część, skrzydło wschodnie, zawiera pokoje przeznaczone do codziennego użytku, i te ci chcę pokazać.

Wskazał jej drogę do starożytnej biblioteki, długiego wysokiego pokoju, z sufitem al fresco. Miał on cztery szerokie okna, wychodzące na jasno zielony trawnik, otoczony starymi bukami. Miękkie fotele z tureckimi poduszkami, zapraszały do wygodnego spoczynku. Dwie ściany od góry do dołu wypełnione były książkami w rozmaitej oprawie, a dzieła sztuki obficie były tu nagromadzone. Wspaniała ten pokój, wyglądał zacisznie i wygodnie.

— Co za pyszna sala! — zawołała Lady Clyde.

— Podoba mi się lepiej, niż wszystkie, które dotąd widziałam.

— Dziwna rzecz — rzekł smętnie Adryan — był to ulubiony pokój Ruperta; a teraz spojrzysz w tę stronę.

Na przeciwległej ścianie wisiał naturalnej wielkości portret Ruperta, robiony w pierw, nim życie jego zatrute zostało nieszczęśliwą miłością. Piękna ogorzała twarz, pełna życia i siły, weselsza była, niż ją kiedykolwiek widziała Floryna. Ciemne oczy tryskały ogniem, a w koło ust nie było oznak smutku; były one gotowe do uśmiechu, a oczy zdawały się obracać za patrzącym. Adryan zaprowadził Florynę przed portret.

— Oto, — rzekł — co chciałem ci pokazać.

Na chwilę zapanowało głębokie milczenie, lecz nagle Floryna pochwyliła rękę Adryana z wyrazem bojaźni.

— To jest Rupert! — wykrzyknęła. — Rupert! i patrzy na mnie!

Adryan z początku nie widział jej strachu; a okrzyk wydawał mu się naturalnym.

— Tak, to jest Rupert — odparł. — Malowany był gdy miał lat dwadzieścia. Nieprawda jaki podobny?

Ale Floryna ukryła twarz na jego ramieniu.

— Nie mogę tego znieść! — wyjęknęła. — Patrzy na mnie. Oczy ma szeroko otwarte, i on wie! oh! on wie!

Jej ręka opadła z ramienia Adryana, słaba kobieta padła na kolana z jękiem trwogi, który przeraził Adryana.

— Co znaczą te słowa: „on wie, on wie“? myślał zaszepiony.

ROZDZIAŁ XII.

— Floryno; Floryno uspokój się — zawołał Adryan, widząc że wdowa rozpacznie płacze. — Powiniennem cię był przygotować na tę niespodziankę. Portret jest bardzo podobny, i nie dziw, iż cię przesyłał boleścią.

— Rupert patrzy na mnie! — powtarzała Floryna. — Czy nie widzisz tego? Oczy jego przeszywa ją mnie na wskroś. O Boże, umrę!

Adryan patrzył zadziwiony na skuloną, drżącą postać. Przewidywał, że będzie wzruszoną, ale nigdy się nie spodziewał takiej sceny. Widział że bliska jest spazmatycznego ataku i położył jej rękę na ramieniu.

— Floryno, — rzekł — widzę że pierwszą rzeczą, której nauczyć się musisz, jest moc panowa-

nia nad sobą. Zaczynaj od tej chwili. Drżysz jak ze strachu. — Zapanuj nad sobą, powstań i spojrzysz na obraz. Dla czego odbicie twarzy męża tak cię przestrasza?

— Nie rozumiesz mnie — rzekła załamując ręce, — Jego oczy są otwarte i patrzą na mnie.

— Cóż znaczy, że oczy są otwarte? przecież to jest obraz — rzekł Adryan. — Czy widziałaś kiedy portret z zamkniętymi oczyma?

— Ale — jęknęła — one patrzą na mnie...

— Mogę toż samo powiedzieć, że patrzą na mnie — rzekł. — Czyż nigdy nie widziałaś dobrego portretu, Floryno, w którym oczy obracają się za widzmem?

— Czy jesteś pewny, że patrzą także na ciebie? — spytała żywo. — O Adryanie, tak się przeleklam!

— Ależ, Floryno, nie pojmuję tego? Gdyby nawet patrzyły na ciebie tylko, czy to cię ma przerażać? Wstań i spojrz na twarz twego męża; czegoż masz się lękać?

Podniosła ją z ziemi, a gdy spojrziała przerażonym wzrokiem na portret, pobladła jeszcze bardziej.

— Zdaje się jakby chciał przemówić! jakby już usta otwierał — rzekła. — Wygląda jak żywy. Ale czy wyraz jego oblicza nie jest pełen groźnych wyrzutów?

— Nie, dla mnie jest on jak najśłodszy — odrzekł. — Widziałem tyle razy ten łagodny wyraz w jego oczach.

— A ja ani razu — rzekła Lady Clyde. — Rupert był zawsze smutny i milczący.

— Rupert którego znalazłem, miał wesoły humor i pełen był życia — odparł Adryan.

— Nie widziałam ani wesołości, ani życia w twarzy Ruperta — rzekła Floryna. — Wielka jest różnica w naszych wspomnieniach.

— Może lata i podróże zmieniły Ruperta. Teraz kiedy już zapanowałaś nad przestraszeniem, Floryno, powiedz czy ci się ten portret podoba?

— O bardzo, i często będę tu przychodzić, ale teraz chciałabym iść spocząć.

— Mój portret jest właśnie na ukończeniu — rzekł Adryan. — Jeżeli ci to nie będzie się nie podobać, to go zawieszę obok tego.

— Bardzo mi to będzie przyjemnem — odparła Floryna, wychodząc spiesznie z biblioteki.

Adryan nie mógł wyjść z podziwienia, myśląc o niespodziewanem zajściu. Nie mógł pojąć trwogi tej kobiety — bo to była wyraźna trwoga. Cemu tak drżała i padła na kolana, blada i przerażona?

— Nie bardzo była zadowolona z portretu męża — rzekł do Eleonory, opowiadając jej co zaszło. Głównym uczuciem w jej wzruszeniu była bojaźń.

— Bojaźń? — powtórzyła Eleonora — z jakiego powodu?

— Właśnie zadaję sobie to pytanie — odparł — ale to pewna, Noro, że w całej postawie tej kobiety, w twarzy, w ruchach, w każdym słowie była niewymowna trwoga i patrząc na nią taką skuloną przed portretem, przyszło mi na myśl, że jest w tem coś tajemnego. Jej wzruszenie nie było naturalne. Nie mów, że jestem uprzedzony, ale zaczynam podejrywać, że w życiu jej jest jakaś tajemnica, której by się bała wyjawić przed Rupertem.

— Mój drogi Adryanie, co za dziwne przypuszczenie! Co do mnie, nie uważam aby Floryna była zdolną do utrzymania tajemnicy i nie chciałabym jej żadnej powierzyć.

— Może nigdy nie dowiemy się prawdy, ale mego sądu nie zmienię. Jest tam coś złego, choć nie mam pojęcia, co by to być mogło. Takie dziwne rzeczy się słyszy, Noro. Przypuść że prawdziwa Lady Clyde umarła, a ta kobieta jest oszustką.

— To byłoby coś nowego prawdziwie — rzekła Eleonora — naturalnie, że żartujesz sobie.

— Na ten raz żartuję, bo mamy jej fotografię

i porównać możemy. Ale jest jakaś tajemnica, Noro.

Lady Clyde była jakgdyby zawstydzona gdy przyszła tego dnia do stołu, śmiała się i miała chęć płakać razem.

— Mój twój mówił ci zapewne, jak byłam nierozsądna i zatrwożona, gdy pokazał mi portret Ruperta dziś rano.

— Mówił mi coś o tem — odrzekła Eleonora — ale co cię tak przeraziło, Floryno?

— Portret tak jest podobny i oczy utkwily we mnie z tak dziwnym wyrazem, jakby patrzyły na mnie i przenikały do głębi.

— Nie miałaś zapewne tajemnic dla męża — rzekła Eleonora.

— Nie, chyba w drobnych rzeczach. Nie zawsze mówiłam mu wiele kosztują suknie, lub klejnoty, albo co dawałam służącym. Myślę że często kobiety robią z tego tajemnice przed mężami.

— Nie mogę tego wiedzieć — rzekła Eleonora — bo ja się nie taję nigdy przed Adryanem.

— Ty bo jesteś wzorem żon — rzekła Floryna z przekąsem. — Nie możemy być wszystkie tak doskonałymi żonami, ja wcale o to się nie ubiegałam.

— Jestem pewną, że dbasz o wszystko co dobre i szlachetne — odpowiedziała uprzejmie Eleonora. — Ale Floryno, jeżeli nie miałaś sekretu dla Ruperta, dla czegoż więc miałoby cię to przerazić, że portret patrzy w głąb ciebie, że musi wiedzieć wszystko.

— Czy tak mówiłam? Adryan ci to powtórzył? Mówię tysiące rzeczy, których nie myślę i których potem nie pamiętam — rzekła Lady Clyde. — Kto mnie zna lepiej, nie uważa nigdy na to, co mówię. Przelekłam się i krzyknęłam. Ale musisz ci powiedzieć Eleonoro, że Adryan chce zawiesić swój portret w biblijotece. Czy to prawda?

— Tak i ja sobie równie życzę tego, aby wisiały obok siebie. Żyli ze sobą zawsze, jak bracia i tak we wszystkim byli do siebie podobni, że będzie mi bardzo przyjemnie, aby teraz ich portrety były razem.

Lady Clyde zbliżyła się do Eleonory. Schyliła się tak, że krepa jej wdowiego czepka dotknęła złotych włosów i wyszeptala pospiesznie.

— Jeżeli przyjmiesz moją radę, to nie pozwolisz, aby portret żywego wisiał obok portretu tego, który nieżyje. To przynosi nieszczęście. Mój ojciec kazał się wymalować klęczącym obok pomnika stryja, który już nieżył. Wszyscy przepowiadali, że niedługo pożyje, i umarł rzeczywiście w niecały rok potem.

— Umarł, bo taka była wola nieba, Floryno; to są tylko zabobony, moja droga.

— Dobrze, rób jak ci się podoba. Możesz mnie nazwać zabobonną, ale pozwól mi powiedzieć, że jeżeli zawieszysz tam portret, to Adryan umrze niedługo.

— Ach Floryno, wylecz się proszę z tych różnych przestרחów, które ci życie trują. Teraz dopiero zaczynam rozumieć wiele rzeczy, które wyglądały dziwnie. Pomyślała w tej chwili, że zapewne Floryna boi się duchów, ztąd boi się razem i męża.

— W parę dni później, po obiedzie, Eleonora siedziała przy fortepianie, a Floryna, zagłębiona w fotelu, przewracała bezmyślnie kartki jakiejś książki, gdy Adryan wszedł do pokoju i usiadł przy Lady Clyde. Floryna była szczęśliwsza, niż zwykle dniu tego, bo przymierzała nowy czepkę, przysłany prosto z Paryża, który wyglądał raczej na ubranko niż na wdowi czepkę i było jej w nim bardzo ładnie. Żałowała jedynie, że nie było nikogo do podziwiania jej, bo Eleonora nie kochała się w strojach, a z Adryanem wszelka kokieterja była nadaremna; zajęty był żoną jedynie.

Rozjaśniła się więc twarz Floryny, gdy Adryan zbliżył się do niej. Spojrzała zalotnie w lustro czy ładnie wygląda w pozie siedzącej.

— Nie bardzo cię widać książka zajmuje, Floryno; co czytasz?

— Powieść Wilkie Collinsa, ale mylisz się, bardzo ciekawa książka.

— I ja dość lubię powieści Collinsa, są żywo pisane, ale nie po to przyszedłem, Floryno, chcąc ci powiedzieć, że jadę jutro do Londynu.

Floryna spoważniała nagle i zapomniała nawet o ładnym czepku.

— Do Londynu — powtórzyła bezmyślnie.

— Tak. I jeśli zechcesz, odwiedzę Lady Leestone i naklonię ją, aby za mną przyjechała. Przywiózłbym ci Alfredka. Co mówisz na to?

Lady Clyde nie odpowiedziała wcale, tylko patrzyła na niego przerożonymi oczyma.

— Nie rozumiesz mnie, Floryno — rzekł spokojnie. — Jadę do miasta i jeżeli mi dasz adres siostry, pójdę do niej i naklonię, aby już raz przywiozła malca do domu. Będiesz rada go zobaczyć, jak myślę.

— Tak — rzekła machinalnie — będę rada zapewne.

— Musisz często miewać wiadomości od Lady Leestone i zapewne wie, jak jesteś niespokojną.

— Odbieram od niej listy codziennie.

— Więc daj mi adres, a będę u niej. To gdzieś w Kensington, mówiłaś.

— Zdaje mi się że adres zgubiłam — rzekła Floryna błędnie.

— Zgubiłaś? to niepodobna! — zawołał Adryan. Miewając codzienne listy, jak mogłaś zgubić adres!

— Nie mieszka już w tym domu — rzekła Lady Clyde. — Bawi u kogoś innego.

— Jaktó? Pojechała gdzieś w odwiedziny, gdy dziecko nie jest dosyć zdrowe, aby do ciebie przyjechać? Czy też siostra twoja obwozi je tak po Londynie, zmieniając ciągle mieszkanie?

— Czy mówiłam, że go obwozi? nie, nie mówiłam tego.

— Co się z tobą dzieje, Floryno? Tak bardzo zbladłaś i zdajesz się być znowu wystraszoną? Czemże cię tak przeraziłem? Chciałem tylko odwiedzić twoją siostrę.

— Ja... ja nie wiem, czyby ona była temu rada — wyrzekła Floryna jakając się — jest taka dziwna i dumna; moja siostra.

— Ależ Floryno, jakkolwiek dziwną i dumną być może, zrozumie, że moja wizyta jest tylko oznaką uszanowania. Nie może być niezrozumieniem.

Nagle krzyknął, bo Floryna leżała bezprzytomna na ziemi. Usłyszawszy głos męża, Eleonora poskoczyła od fortepianu.

— Co się stało, Adryanie? — rzekła — czy jej prawiłeś morały? Musiałeś ją przestraszyć. Podnieś jej głowę. Nie będziemy wołać służących, zaraz przyjdzie do siebie. Co jej powiedziałaś?

— Nie, moja droga, coby ją zatrwożyć mogło — odparł Adryan. — Przeciwnie, chciałem jej zrobić przyjemność i prosiłem o adres siostry, aby ją jutro odwiedzić w Londynie.

— To nie był powód do zemdlenia — rzekła Eleonora.

— Przyjęła tak dziwnie moją propozycję! Najpierw powiedziała, że zgubiła adres siostry — pomyśl zgubić adres osoby, która do niej codziennie pisuje! — Potem mówiła, że Lady Leestone opuściła Kensington, to znowu utrzymywała, że jej siostra jest dziwna i dumna! Cóż na to mówisz, Noro?

— Nic zupełnie — odparła. — Lady Clyde tak szczególna jest we wszystkim, że na to zważać nie trzeba. Mdleje, kiedy jej chce zrobić przyjemność, a zdaje się być wesołą, kiedyby zemdleć powinna. Ale już przychodzi do siebie, nie będę jej wspominać, o tem co się stało.

Ale Floryna sama dużo mówi zaczęła. Otworzyła oczy z westchnieniem i uśmiechem.

— Dziwię się — rzekła — żeście jeszcze nie stracili cierpliwości ze mną, ale cały dzień niedobrze się czułam.

Adryan spojrział na nią poważnie.

— Czy jesteś pewną, że to nie moje słowa wpłynęły na ciebie, Floryno?

— Nie pamiętam, co mówiłaś. Pozwól niech sobie przypomnę.

I z wyrazem głębokiego namysłu położyła palec na ustach.

— Nie mogę sobie przypomnieć, czułam się tak niedobrze podczas gdy rozmawiałeś! Wiedziałam że padnę lada chwila.

Adryan spojrział na żonę. Co to była za przykra choroba!

— Mówiłem ci o siostrze i Alfredku — rzekł Adryan.

— Ach! teraz pamiętam! — odrzekła Lady Clyde. — Jedziesz do miasta jutro i chcesz być u mojej siostry.

— Nie tyle pragnę widzieć twoją siostrę, ile poznać mego małego synowca i dowiedzieć się jak, się miewa — rzekł Adryan.

— O której godzinie jedziesz jutro? — spytała obojętnie.

— Około dziesiątej — odparł.

— Przepiszę ci adres siostry, i przyniosę jutro rano — rzekła. — Jak mogłam ci powiedzieć, że mogłaby się obrazić, to bardzo grzecznie z twej strony, Adryanie, że chcesz ją odwiedzić. — Potem po chwili dodała — zapomniałam nakręcić zegarka, która godzina Eleonoro?

— Po ósmej. Dziś obiad był wcześniej jak zwykle.

— Po ósmej? — powtórzyła namysłając się, Floryna. — Wybaczcie mi, że pójdę się położyć, potrzebuję spoczynku.

— Czy nie lepiej, abys mi dziś adres dała — rzekł Adryan.

— Nie, jestem zmęczona. Wypocznę do jutra i zejdzę na dół przed tobą. Przepiszę go, jak u mnie najczytelniej.

Błada ciągle i drżąca, Floryna powiedziała im dobranoc. Pospieszyła do swego pokoju i zadzwoniła na służącą; zanim dziewczyna przyszła, otworzyła okno i wyjrzała. Była to ciepła noc wiosenna, ale ciemna zupełnie, co Lady Clyde zauważyła z wielką radością.

— Nikt mnie nie zobaczy i będę na czas — rzekła do siebie, a w tej chwili weszła Mary Dormer, w której Floryna miała wielkie zaufanie.

— Przykro mi słyszeć, że mylady jest cierpiącą — powiedziała uprzejmie. — Czy mogę pani czem służyć?

— Tak Mary, możesz mi oddać wielką przysługę, jeśli zechcesz.

— Mylady wie, że jestem na jej rozkazy. Wszystko na świecie zrobię dla pani.

— Jesteś poczciwą dziewczyną, Mary, wynagrodzę ci to z pewnością. Nie czuję się dobrze dziś wieczór i sądzę, że przechadzka na świeżem powietrzu orzeźwiła by mnie.

— O tej porze? mylady? — zawołała dziewczyna.

— Tak, Mary, przyzwyczajenie jest drugą naturę. W Indyach dni są tak gorące, że tylko w nocy przechadzać się można, to też przywykłam do nocnych spacerów.

Tłomaczenie to wydało się Mary zupełnie naturalnem.

— Teraz więc potrzebuję przejść się, ale tak, aby mnie nikt nie widział. Przez troskliwość nie puszczono by mnie z domu. Potrafisz to urządzić, jestem pewną.

— Zrobię co pani rozkaże — rzekła dziewczyna.

— Oto wszystko, czego żądam od ciebie: wyjdę przez biblijotekę do ogrodu; ty zamkniesz za mną drzwi szklane i powrócisz do mego pokoju. Zamknij się ze środka, a gdyby kto pukał — czego nie przypuszczam, powiedz, że pani śpi i nie chcesz jej budzić — czy zrozumiałaś?

— Zrozumiałam mylady, — była krótka odpowiedź.

— Gdy powrócę, rzucę kamyczek w to okno, wtedy zejdziesz i wpuścisz mnie znowu. — Daj mi tylko czarny płaszcz i kapeluszek.

Mary Dormer przebrała swoją panią, i w kilka minut Lady Clyde była gotową. Zeszła do biblijoteki, skąd żelazne schody prowadziły na taras a zamtąd łatwo się było dostać do ogrodu. Na noc drzwi od biblijoteki były zamknięte silnymi okiennicami. Mary Dormer otworzyła je, a Floryna wyszedłszy na powietrze odetchnęła swo-

bodniej. Mogło to być oznaką ulgi z powodu usuniętego niepokoju, albo po prostu rozkoszy odychania świeżem powietrzem, jak mówiła.

Floryna spiesznie się oddaliła; zdawało się że na skrzydłach przebyła park i gościniec i skierowała się w stronę miasteczka Rodney. Nigdy w swem rozpieszczonym życiu nie szła tak prędko wśród nocy i samotna. Nie oglądała się wcale, nie odpoczywała, ale tym samym szybkim krokiem dobiegła do stacyi.

— Czy bióro telegraficzne jest otwarte! spytała bez tehu posługacza?

— Właśnie je zamykają, niech się pani spieszy — odpowiedział.

Wskoczyła raczej niż weszła na drewniane schody.

— Boję się czym się nie spóźniła — rzekła do telegrafisty, który właśnie z bióra wychodził. — Proszę wstrzymaj się pan — wynagrodzę za tę chwilę.

W milczeniu podał jej szemat do zapewnienia i w milczeniu przyjął złoto. Ona napisała.

„Od F. Sabine, Rodney, do Klary Leestone. — Prześlij jak najraniej telegram, że przyjeżdżasz z Alfredem, a przybawaj bez zawodu. Wytłomaczę.“

— Poślij to pan zaraz — rzekła Lady Clyde. — Czy pan jesteś pewny, że telegram będzie oddany w Londynie dziś wieczór?

— Z pewnością — odparł urzędnik.

Wtedy powróciła tą samą drogą, jak mogła najspieszniej.

Wielki zegar na stajniach bił dziesiątą, gdy Floryna doszła do zamku.

— Jeżeli nie zauważyli mojej niebytności — pomyślała — wszystko będzie dobrze.

Zatrzymała się znowu pod oknami swej sypialni i rzuciła kamysek. Widocznie Mary czuwała, bo na ten szmer światło w oknach znikło i wkrótce zaświeciło w bibliotece.

— Czy to mylady? — spytała cicho dziewczyna.

— Tak, Mary, otwórz prędko.

Za chwilę była w bibliotece.

Pani i służa w milczeniu weszły na schody, Lady Clyde zrzuciła płaszczyk skoro tylko drzwi się zamknęły i odetchnęła z głębi piersi.

— Doskonale się sprawiłaś, Mary, czy nie pytał się kto o mnie? — spytała.

— Nikt nie wchodził do tego skrzydła; mylady, odparło dziewczę.

— To dobrze. — powiedziała Lady Clyde z uśmiechem i zdawało się, jakby jej ciężar spadł z serca. — Patrz jak przechadzka mi pomogła — dodała z rumianą twarzą i świecącymi oczami.

— W istocie mylady lepiej wygląda — odparła służąca.

Przez kilka chwil Floryna była niezwykle ożywiona. Śmiała się, mówiła i zdawała się zupełnie swobodna, ale wkrótce cień powrócił na jej czoło i wpadła w zamyslenie.

— Mary, czy często śnią ci się jakieś niebywale rzeczy? zapytała, gdy dziewczę miało już odejść.

— Tak, mylady, często mi się coś marzy — odparła.

— Ach, jak ja tych snów nie lubię, zawsze są smutne. Mary przynieś mi kieliszek mocnego jakiego wina. Po długim spacerze to mnie uspokoi i będę spać dobrze.

Mary przyniosła żądany napój i tej nocy, w której posłała telegram, Lady Clyde zmusiła się do snu mocnym trunkiem.

ROZDZIAŁ XIII.

Następnego poranku, gdy się wszyscy spotkali przy śniadaniu, Floryna wyglądała daleko lepiej

i ubrana była z niezwykłą starannością. Ożywiona i wesoła, posunęła się nawet do żartów z wczesniejszej choroby. Eleonora patrzyła na nią z podziwieniem.

— Pozwól mi oddać sobie adres siostry, abym nie zapomniała, rzekła Floryna, podając Adryanowi złożony papier.

Rozwinął go i przeczytał: Lady Leestone, Kilburn Terrace, Kensington.

— Zapomniałaś o numerze — rzekł — musiałbym szukać w każdym domu.

— Zdaje mi się że № 42 — odpowiedziała Lady Clyde.

— Będę się starał wszelkimi sposobami nakłonić Lady Leestone do przyjazdu. Powietrze wiosenne jest tak zdrowe i wzmacniające w Clydesdale. Czy nie zgadzasz się ze mną, Floryno?

— O, najzupełniej — odparła. — Jestem pewna że...

Nie skończyła zdania, bo w tej chwili lokaj przyniósł telegram do Lady Clyde.

— Telegram do mnie! — zawołała — aby nie zła wiadomość.

Błada i drżąca otworzyła papier i słaby okrzyk wyrwał się z jej ust.

— Nic się złego nie stało, Floryno? — spytała Eleonora.

— Nie — odrzekła — nic złego, ale dziwnie się rzecz składa.

Z uśmiechem podała papier Adryanowi.

— To dziwne, — mówiła dalej — chciałaś być u mojej siostry, a ona donosi, że dzisiaj przyjeżdża.

— Co dzień spodziewałaś się przybycia siostry, Floryno, a Adryan od dwóch tygodni wybierał się do Londynu, nic dziwnego że oba zdarzenia na jeden dzień wypadły — odparła spokojnie Eleonora.

Adryan przeczytał głośno.

„Alfred jest zdrowszy. Spodziewam się przybyć do Clydesdale w południe. Staraj się nie rozdrażniać Alfreda zbyt dużą czułością przy powitaniu.“

— Lady Leestone wydaje się bardzo roztropną osobą — zauważył Adryan. Czy Alfred jest tak nerwowy, Floryno?

— Wcale nie jest silny, łatwo go rozdrażnić, a to zawsze przyprowadza go do choroby.

— W Clydesdale prędko przyjdzie do sił i zdrowia — rzekł Adryan. — Jest to najzdrowsza pod słońcem miejscowość, a przytem będzie miał najlepsze pożywienie i troskliwą opiekę.

— Tylko go nie psujcie — powiedziała śmiejąc się Floryna, ale oboje zauważyli, że była przytem bardzo blada.

— Oddaję ci teraz adres siostry, Floryno. Żałuję bardzo, że tak wypadło, ale mam terminowy interes, którego odłożyć nie mogę. Gdyby Lady Leestone była wprzód uwiadomiła o swoim przybyciu, mógłbym być tak się ułożyć, aby z nią powrócić.

— Mówiłam ci, że Klara jest bardzo dziwna, zauważyła Floryna z uśmiechem. — Nigdy nie wiem napróżd co postanowi. Ale już po dziewiątej, wkrótce ją ujrzemy.

— Jak to będzie rozkosznie słyszeć tu szczebiot i śmiech dziecka — rzekła Eleonora. — Ale najpierwszą rzeczą jest przekonać się, czy wszystko jest gotowe na przyjęcie tych najmilszych gości. Musisz wybrać pokoje dla Lady Leestone, Floryno.

— Nie będzie zadowolona jeśli blisko mnie nie zamieszka — odparła Lady Clyde.

— Jest tyle pokoi w zachodnim skrzydle, że możesz wybrać, które ci się podobają Floryno.

Adryan tymczasem pożegnał się z niemi.

— Bardzo żałuję że nie mogę przyjąć syna Ruperta. Wytłomacz mnie przed siostrą, Floryno, — powiedział wychodząc.

— Ach! — rzekła Floryna do Eleonory, kiedy zostały same — zdaje mi się to rzeczą niepodobną, aby mój drogi synek naprawdę tu dziś przybył. Eleonoro, chodź ze mną do biblijoteki, pragnę dziś zobaczyć portret Ruperta.

Gdy weszły do pięknej sali, poranne światło padało jasno na ogorzałą, szlachetną twarz Ruperta Clyde. Floryna wpatrzyła się w nią poważnie.

— Czy ci się nie zdaje Eleonoro, że w oczach portretu jest coś, jakgdyby usta siliły się przemówić. Dziwne wrażenie robi dobry portret? — Ciekawam, czy Rupert wie, że młody dziedzic Clydesdału dzisiaj przyjeżdża?

— Nie możemy zgłębić tajemnic zamkniętego dla nas świata — odparła Eleonora — i jestem pewna, że nie bylibyśmy szczęśliwi poznawszy je. Co Bóg zakrył przed nami, nie powinno być odsłaniane.

— Ależ, Eleonoro, gdy patrzę w oczy Ruperta zapytuję się mimowolnie, czy on wie, że Alfredek przybywa do jego rodzinnego domu? — Patrz światło pada na oczy i wydają się jakby żywe!

Obiedwie kobiety stały jakiś czas w milczeniu. Jedna wytwornie piękna, królewskiej postawy druga ładna wprawdzie, ale z wyrazem dziecka lub lalki, nie sprawiała wrażenia. Jedną sir Rupert kochał szalenie i namiętnie a z drugą się ożenił. — Po kilku chwilach oddaliły się powoli.

— W południe podróżne przybędą — rzekła Eleonora. Nie zapominajmy że czas ucieka, Floryno, już tylko godziny brak do południa.

Cały dwór był w poruszeniu, jedni drugim podawali tę nowinę, że młody dziedzic przybywa. Tylko wszyscy się dziwili, że mylady tak jest obojętną.

— Gdybym była na jej miejscu — mówiła pokojówka — oszalałabym z radości, że mój synek przyjeżdża już na zawsze.

— To wcale nie na zawsze — mówił kucharz odznaczający się praktycznym sposobem widzenia rzeczy, wkrótce chłopiec pójdzie do szkół.

— Zawsze mylady mogłaby się wydawać szczęśliwszą. Jestem pewna, że dom inaczej będzie wyglądał skoro w nim dziecko zamieszka.

Eleonora jedna nie mogła oskarżać Florynę o obojętność względem syna. Widziała nerwowość, nad którą ledwie mogła zapanować z największym wysileniem.

Kiedy się południe zbliżało, Floryna położyła drżącą rękę na ramieniu Eleonory.

— Eleonoro — rzekła — nieśmiałabym kogo innego prosić o tę łaskę, ale ty mnie zrozumiesz, jesteś tak litościwą.

— Żądaj czego chcesz, Floryno, nie myślę że byś wymagała czegoś nad moją możność.

— Chcę wyjść sama na spotkanie mojej siostry i synka — rzekła cicho.

— Ależ to bardzo naturalne — odrzekła Eleonora — samabyś ci tę myśl podała. Przytem, Floryno, jesteś tu panią, to jest twój dom, nie mój.

— Wiem o tem — rzekła niecierpliwie Floryna, — ale myślałam że ci się to dziwnem wyda.

— Dziwiłabym się gdybyś pragnęła mieć świadków swego spotkania z synkiem, Floryno.

(Dalszy ciąg nastąpi)